№ 42. Warszawa, dnia 20 (8) Października 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach. w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TRUTNIE I PSZCZOŁY.

Zatarg kroacko-węgierski załatwiony... porażką madziarów. Na nieszczęsnych szyldach, które go ostatecznie wywołały, starto znamiona rządowe i ubierzmowano je po chorwacku. Jak zauważyliśmy dawniej, a pogląd nasz stwierdziły fakty, cały ten dość gwałtowny wybuch poczerpał swą siłę nie z iskry, która go zatliła, ale z obfitych i długo gromadzących się materyałów palnych, spoczywających w walce ekonomicznej. Ze wszystkich ludów słowiańskich monarchii austryackiej kroaci są obdarowani najhojniej, gdyż posiadają prawie zupełny samorząd; czyż więc podobna, ażeby nadstawiali piersi bagnetom za głupie, chociażby drażniące szyldy, tem bardziej, że przecież na drodze prawnej mogli je łatwo usunąć? Przyczyna więc buntu leżała głębiej, mianowicie w uciemiężeniu administracyjnem i podatkowem, które, po bliższem zbadaniu stosunków, przedstawia obraz gospodarki dzikiej i niesfornej.

„Gdybyśmy o tem byli wprzódy wiedzieli!“ Tak miał się odezwać Tisza, gdy mu zdano sprawę z nadużyć przy poborze podatków w Kroacyi. Ten nieopatrzny wykrzyk streszcza w sobie całą politykę węgierską. Czy to skutkiem nieudolności cywilizacyjnej, czy też skutkiem błędnego rozumowania, madziarzy całą swą siłę widzą i całą przyszłość składają w ukuciu sobie mocnego pancerza politycznego. Rozwój naukowy, artystyczny, materyalny, słowem cywilizacyjny nie jest w ich oczach potęgą, którąby rozstrzygała losy narodów. Zdobywszy w monarchii austryackiej samodzielne i przeważne stanowisko, wytężają oni wszystkie starania ku temu, aby je ubezpieczyć i wyżej podnieść. Co tam się gotuje w tym kilkakrotnie rozbitym garnku — mniejsza; dość, aby on był mocno odrutowany. Jeżeli szczęście odrzucimy jako prawo do panowania, to owi węgrzy z maleńką wreszcie garstką umysłów wyższych i w historyi świata zapisanych, nie okażą nam nic, coby usprawiedliwiało ich zwierzchniczą władzę nad ludami słowiańskimi. Dlaczego oni mają posiadać byt niezawisły, własną koronę, rząd, wojsko i parlamenty, cały szereg przywilejów, odmówionych społeczeństwom daleko dojrzalszym i cywilizacyjnie bardziej rozwiniętym? Co dają w zamian za te dobrodziejstwa? Gdzie ich rola, gdzie udział w ogólnym postępie? Tokaj, słonina, pszenica, kilka powieści i peematów cennych—czyż to są tytuły wystarczające do zajmowania wyjątkowego stanowiska i ujarzmiania innych? Gdy nadyma się i gniecie niemiec, anglik, francuz, włoch — ma on przynajmniej dla usprawiedliwienia swej pychy i gwałtu zasługi cywilizacyjne; ale z czem występuje węgier? Z Jokajem i wiecznie z Jokajem, który jest talentem dużym, ale za małym, ażeby sam jeden lub nawet z gromadką mu równych zatkał wszystkie dziury swego narodu i nadał mu potęgę, o którą wreszcie madziarzy nie bardzo dbają. Im nadewszystko idzie o to, ażeby korona św. Stefana nie stopiła się z habsburską, ażeby Peszt nie potrzebował słuchać rozkazów Wiednia a Tisza ulegać Taaffemu, ażeby wojsko węgierskie miało osobną komendę a język węgierski wyrzucał za drzwi w urzędach wszystkie inne. Gambetta kiedyś słusznie powiedział, że nowoczesna formuła życia społeczeństw zaleca tylko: „pracę, pracę i jeszcze raz pracę.“ Zdanie to nadzwyczaj słuszne i biada narodom, które chcą żyć według innej zasady. Historya już dawno wykazała, że rozpościeranie się na zewnątrz i opychanie łupami daje im siłę tylko krótkotrwałą; doświadczenie zaś czasów ostatnich uczy, że całkowita ani szczęśliwość ludów, ani ich żywotność nie jest płodem jedynie ustroju politycznego. W ramach konstytucyj i parlamentów najswobodniejszych mieszczą się dotąd obrazy nędzy i ucisku (Anglia), widoki takiej nierówności społecznej, jakiej nie powstydziłby się świat starożytny w chwilach największegoześrodkowania władzy. Zapewne i forma państwowa ma swoje znaczenie, bo dostarcza rozwojowi warunków; ale ona nie jest ani wszystkiem, ani czynnikiem głównym. Budowa ula wpływa niewątpliwie na wydajność roju, ale w żadnym nie zrobią miodu trutnie, lecz pracowite pszczoły. Nigdy narody, dbałe wyłącznie o zbroję polityczną, nie utrzymały długo swej niepodległości, podczas gdy pamiętające o postępie cywilizacyjnym, o rozwinięciu swych duchowych i materyalnych sił, dźwigały się z najsromotniejszego upadku i zrzucały najcięższe jarzma.

Madziarzy, bezpłodni fizycznie i umysłowo a wyposażeni przez kapryśny los hojnie, troszczą się przedewszystkiem o rozszerzenie swej władzy. To dążenie popchnęło ich do najrozmaitszych okrucieństw względem ludów słowiańskich, do niedorzecznych swarów, do niecnego wyzysku podatkowego, do tajemnego przerabiania i zawieszania nocą w Kroacyi węgierskich szyldów. Ulegli w walce i nieraz jeszcze ulegną; bo, jeżeli nawet posiadają racyę samodzielnego bytu, to stracili już dawno racyę panowania nad innymi. Nie wątpimy, że w państwie austryackiem będą oni jeszcze przewodzić długo — gdyż i w polityce ciała posuwają się siłą ruchu nabytego — ale że lata ich zwierzchnictwa nad grupą ludów słowiańskich są policzone, to dla nas jest więcej, niż prawdopodobnem. Prędzej czy później pszczoły wypędzą lub wytępią trutniów, które ich kosztem żyją. Musiałaby dzisiejsza sztuczna równowaga Europy wydobyć z siebie jakieś

nieznane nam siły, ażeby ona mogła chociażby przez jedno stulecie utrzymać na wierzchu takie pół-martwe, narkotykami tylko ożywiane organizmy.

FUNDUSZ UŻYTECZNOŚCI OGÓLNEJ.

Pomimo ciągle powtarzających się projektów urządzenia kredytu dla włościan, pomimo dowcipnych pomysłów i sposobów praktycznego ich zastosowania, sprawa ta nie była dotąd w prasie naszej postawioną na właściwym gruncie i zasadniczo rozstrzygniętą. Instynktownie odczuwamy potrzebę pomocy dla małej własności, oblekamy nasze dobre chęci w formy ustaw dla banków hypotecznych i tym podobnych instytucyj, obliczamy możliwości ich urzeczywistnienia, ale nie zastanowiliśmy się jeszcze: jakiego kredytu potrzebuje włościanin? Udzielanie pożyczek na grunty, zostające w posiadaniu dotychczasowych właścicieli, głównie dla poprawy gospodarki, do korzystnych rezultatów doprowadzić nie może. Drobne rozmiary ziemi nie pozwalają zastosować ulepszeń w szerszym zakresie, a wytworzeniu stowarzyszeń tyle przeszkód wewnętrznych i zewnętrznych stoi na drodze, że wszelka myśl o nich musi być zaniechaną. Ostatecznie więc wypożyczone kapitały przyczyniłyby się tylko do zwiększenia ludności bezrolnej, bo dopomogłyby zamożniejszym do wykupywania ziemi z rąk biedniejszych sąsiadów i zamiast dotychczasowego rozdrobnienia zobaczylibyśmy wręcz przeciwny proces grupowania małych działków w większe całości. Może taki stan rzeczy dla wielu byłby pożądanym, ale z pewnością nie dla tych, którym dobrobyt ludu oraz prawidłowy rozwój naszych stosunków społecznych leży na sercu. Więcej już uczuwa włościanin brak krótko-terminowego kredytu, ale mimo to nie potrzeba improwizować nowych instytucyj, gdyż gminne kasy wkładowo-zaliczkowe, przy umiejętnem i uczciwem administrowaniu ich funduszami, są w tym wypadku zupełnie wystarczające. Z poprzedzających uwag nie wynika jednak wcale, żeby dla chłopa kredyt był zbytecznym; owszem, wobec milionowego, corocznie wzrastającego liczebnie, bezrolnego proletaryatu, stworzenie instytucyi, udzielającej zaliczki na kupno ziemi i ułatwiającej naturalny proces podzielności wielkich obszarów, stało się koniecznością naglącą. Tylko więc radośnie powitać możemy wiadomość, że właśnie w tym duchu powstał w sferach rządzących projekt rozszerzenia na Królestwo działalności banków włościańskich, od niedawna dopiero pomyślnie istniejących w Cesarstwie. Dobra ich strona, mianowicie że pierwszeństwo w utrzymywaniu pożyczek mają bezrolni i małorolni włościanie, i u nas będzie zupełnie na miejscu, a nawet wady ich: określenie maximum zaliczek tylko do 75% ceny nabywanej ziemi przy lepszem stosunkowo materyalnem położeniu naszego ludu, pozwalającem mu na kapitalizowanie drobnych oszczędności, u nas tracą na wadze.

Dotąd więc wszystko dobrze. Jednakże zadowolenie nasze osłabiają poniekąd pogłoski, niemające wprawdzie urzędowego potwierdzenia, ale uporczywie powtarzane przez różne organy prasy. Głoszą one, że kapitał zakładowy nowych banków, z zapomogi rządowej powstały, wzmocniony będzie t. z. „funduszem użyteczności ogólnej,“ zebranym z oszczędności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i że kierownictwo nowej instytucyi otrzymają komisarze do spraw włościańskich. Wieść tę poruszył świeżo w *Gazecie Rolniczej* p. Filipowicz, z którego uwagami w znacznej części zgodzić się należy.

Niema sporu, że leżący tak długo bezczynnie „fundusz użyteczności ogólnej,“ lepszego i odpowiedniejszego swemu przeznaczeniu zastosowania znaleźć nie mógł; idzie więc tylko o to, w czyje ręce dostać się powinno administrowanie nim? Nie będziemy powtarzali wywodu autora, przekonywającego dowodnie, że z mocy Najwyższych ukazów jedynie Towarzystwo Kredytowe Ziemskie ma prawo zarządzać tym kapitałem, władza zaś państwowa zastrzegła sobie tylko wskazanie celów, na jakie ma być on użytym. Co do tego wątpliwości żadnej być nie może; brzmienie ukazów jest jasnem i w ten sposób wyrażony zamiar prawodawcy nie daje pola do dowolnych komentarzów. Ale oprócz strony prawnej, kwestya ta ma i społeczne znaczenie. Zgodzilibyśmy się chętnie na oddanie kierownictwa w inne ręce, gdyby w kraju naszym istniały instytucye, poręczające bezpieczeństwo i umiejętne użycie sum publicznych. W Cesarstwie sprawę kredytu włościańskiego powierzono ziemstwom, t. j. organom miejscowego samorządu. Zaufaniem współobywateli zaszczyceni, odpowiedzialni majątkowo i wybornie obeznani z warunkami miejscowymi członkowie zarządów ziemskich zupełnie odpowiadają temu zadaniu. O ile jednak zastąpić ich mogą urzędnicy koronni, czy przy najlepszych chęciach i najstaranniejszym doborze osobistości dadzą oni pożądane rękojmie, na teraz rozstrząsać nie będziemy.

Do zarządzania funduszem mają prawo i właściwszemi są władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Wypowiadamy zdanie nasze tem śmielej, że nigdy nie paliliśmy kadzideł uwielbienia na ołtarzu tej instytucyi, że widzimy również jej słabe strony, ale nie możemy jej odmówić ani umiejętności finansowej, ani skrupulatnej uczciwości w administrowaniu kapitałami publicznymi. Członkami jej są ludzie odpowiedzialni, obeznani jak nikt inny, ze stanem majątków i wartością ziemi w swych okręgach, wreszcie mogący korzystać zawsze z cennych wskazówek, jakiemi w tym względzie rozporządzają władze Towarzystwa. Przy tym obrocie rzeczy koszta administracyi byłyby bardzo nieznaczne, z łatwością także Towarzystwo w potrzebie wytworzyćby mogło organy od siebie zależne, pomocne mu w projektowanej działalności. Gdyby zaś zachodziła obawa pokrzywdzenia interesów włościańskich dla widoków większych posiadłości — chociaż nie dostrzegamy możliwości podobnego starcia — i temu zaradzić by można stosowną kontrolą.

Wobec niepewności, jaki kierunek przyjmie w zastosowaniu projekt rządowy, wobec nieprawdopodobnych pogłosek, obiegających szpalty dzienników, wypadałoby władzom Towarzystwa wystąpić z własną inicyatywą i przedstawić odpowiednim sferom własny swój projekt, jeżeli takowy istnieje, lub wypracować go w możliwie najkrótszym czasie, bo na naszą opieszałość nikt oglądać się nie będzie a raz już zrobione — odrobić potem trudno. Najlepszy i napewniejszy punkt wyjścia przedstawia strona prawna tej kwestyi, na niej więc oprzeć się należy. W tym jednak wypadku, jak i w wielu innych, nie dosyć mieć prawo za sobą — trzeba go jeszcze przypomnieć i zasadność jego wykazać, pomnąc, że tylko *vigilantibus jura prosunt*.

P.

---

¹)

Moje wspomnienia.

Pojmując obowiązki żony, jako ciągłej towarzyszki i przyjaciółki swego męża, o reszcie mając jakieś słabe zaledwie, niedające się ująć w formy i wyrazy przypuszczenia, zezwoliłam staremu, łysemu, zupełnie obojętnemu poprowadzić się przed ołtarz. Wolałam jego, niż każdego z poprzednich wielbicieli; znałam go dłużej.

Sam obrządek ślubny stanowił już pewną rozmaitość w duszącej mię jednostajności: to też w dzień wesela podziwiano ożywienie moje i dobry humor.

Jakże jednak zmieniły mię dnie następne!

Postarzałam się o połowę lat swoich. Do obojętnego mi człowieka nabrałam znowu nieprzezwyciężonego wstrętu od chwili, gdy został mężem moim, gdym poznała nie w słabem, nieokreślonem przypuszczeniu, lecz w sile prawdy rzeczywistej, czem dla niego, jako żona, być musiałam.

Usta moje zaległo większe jeszcze od dawnego milczenie. Przestałam mówić zupełnie, chciałam przestać myśleć...

Stosunek mój do męża, nieuświęcony miłością, poniżał mię wobec samej siebie, poniżał w oczach moich na chwilę cały ród ludzki. Marzyłam o śmierci, jak o wyzwoleniu...

Ciężko odpokutowywałam stopniowe poznawanie prawd życiowych. Czy pod niemi rozumiała matka owo „złe i wstrętne“ — nie wiem, lecz tak przypuszczałam wówczas, kiedy uczyłam się patrzeć na świat, nie „jak na coś obcego!“

Pytałam samą siebie nieraz w trwodze, czy to już wszystko? Czy jeszcze nie spadnie na mnie grom jaki, który mi coś nowego odsłoni?

W szesnastym roku, wtedy, gdy wstępowałam na próg samodzielnego istnienia, zostawili mię dzieckiem nierozwiniętem, głupiem... czyż, mając rozum dojrzalszy, byłabym się rzuciła w objęcia obojętnego mi starca dla przerwania dławiącej mię nudy i jednostajności?

Nie wiem, czy matka wyczytała w oczach moich niemy wyrzut za to, że puściła mię w świat tak słabą, nieuzbrojoną doświadczeniem, dość, iż unikała wejrzeń moich starannie, a jeżeli zagadnęła mię kiedy, to, jak dawniej, o coś zupełnie obojętnego.

Duszność z piersi mych ustąpiła zupełnie, oddychałam zdwojoną liczbą razy, ale za to każdem tchnieniem czerpałam z powietrza, czy z otoczenia swego nienawiść do życia i ludzi, dla tych największą, co mi byli najbliżsi.

Drżałam ze wstrętu i z obawy na widok męża, gardziłam własną matką.

Dziesięć dni upłynęło od chwili ślubnej przysięgi. Raz ciemnym, zimowym rankiem, rozbudziwszy się, otworzyłam oczy i, śniąc na jawie, kreśliłam sobie w myśli postać Feliksa. Sama nie wiem, czy kochałam go jeszcze, czy wspominałam tylko z przyzwyczajenia: serce moje, przepełnione nienawiścią i wstrętem, z innych uczuć nie było w stanie zdać sobie sprawy. To tylko pewne, że przestałam gardzić dawnym moim znajomym tak, jak nim wzgardziłam na razie: wybaczyłam mu pierwszy szał, zrozumiawszy za późno, niestety, że był on wynikiem młodzieńczych sił, koniecznością natury. Jako plamę na czole jego widziałam tylko zgubę niewinnej dziewczyny, niezmytą jeszcze w oczach moich nawet poświęceniem dla syna.

Z pogoni za chwilami, minionemi bezpowrotnie, wyrwał mię nagły hałas.

Zastukano gwałtownie w zamknięte okiennice sypialni naszej, a nie mogąc rozerwać, zaczęto w nie rzucać kamieniami raz po razie. Nie zdołałam wstać z łóżka, gdy z hukiem rozwarły się drzwi pokoju i wpadła przez nie kobieta, nie bardzo już

ZJAZD LITERATÓW I ARTYSTÓW
(w Krakowie).

15 października.

Po zjeździe pedagogów, lekarzy, techników, przyszła kolej na literatów i artystów, którzy, jak wiadomo, urządzili sobie niedawno kongres w Krakowie. O ile pamiętamy, gdy pojawiła się myśl zwołania tego wiecu, nie ustroiliśmy jej w żadne zamaszyste frazesy, nie przyprawiła nas ona o zawrót głowy i nie witaliśmy w zjeździe rodzącego się reformatora naszych stosunków literackich, a tem więcej artystycznych. Zapatrywaliśmy się nań bardzo skromnie, pojmując, że owe „wielkie zadania,“ jakie miały czekać obradujących mężów, są raczej przystawką, niż celem zjazdu. Na wszystkich zazwyczaj kongresach stoi w pierwszym rzędzie zabawa i rozrywka, a nieszkodliwe najczęściej próby rozwiązywania różnych „kwestyj“ są właściwie tylko usprawiedliwieniem zebrania, jego blichtrem. W przypuszczeniach naszych co do zjazdu literatów i artystów nie omyliliśmy się prawie zupełnie. Najlepiej mu się udała część restauracyjno-choreograficzna — donioślej strzelały korki z butelek, niż myśli z głów wielu obradujących, chociaż powiedzieć nie można, ażeby posiedzenia były całkiem bezpłodne. Przeciwnie, poruszono kilka spraw żywotnych i ważnych — chodzi tylko o to, aby powzięte uchwały teraz w czyn wprowadzono.

Zjazd rozpoczął się w dnia 14 września i trwał trzy dni. Na brak uczestników komitet narzekać nie mógł — za to nie powiodło mu się z werbunkiem imion głośnych w literaturze i sztuce. Z pierwszorzędnych pisarzów lub artystów nie przybył ani jeden, z „grubszych ryb“ znajdowało się zaledwie kilka — zresztą wszystko karaski i płotki. Powetowano to sobie, zamianowawszy honorowymi członkami zjazdu J. J. Kraszewskiego, T. T. Jeża, Henryka Siemiradzkiego i Józefa Brandta, o czem ich uwiadomiono telegraficznie.

Wieczorem dnia poprzedzającego pierwszy dzień narad zebrali się uczestnicy wiecu w Kole literacko-artystycznem dla wzajemnego poznania. Oczywiście przyszło do hucznych toastów i krasomówczych popisów, urodziło się nawet kilku humorystów — ale od opisu tego wzruszającego aktu zechce mnie łaskawie czytelnik uwolnić.

Gdy przez noc wyszumiały rozgrzane głowy biesiadników, udali się oni z rana, jak przystało na dobrze wychowanych ludzi, do kościoła — zapewne, aby przeprosić „Serce Jezusa“ za nocną pohulankę, a prosić o dalsze błogosławieństwo. Daruj redakcyo ten przelotny uśmiech — ale pojmujesz, że są wypadki, w których trudno w powagę przyoblec usta. Pomijam już okoliczność, że komitet umieszczeniem w *programie* nabożeństwa dał wyraźną wskazówkę ludziom innych przekonań, iż będą intruzami na kongresie — i wyrażę tylko zdziwienie, dlaczego ks. Polkowski, katecheta Koła lit. art., nie poprowadził swej pobożnej trzódki parami — do spowiedzi? Byłoby to nietylko legalne, ale i budujące.

Pomimo jednak tak przykładnie zaczętego dnia, obrady rozpoczęły się pod prawdziwą opatrznością — właśnie dzięki ks. katechecie Koła, który „odkrył“ nieznany wiersz Kochanowskiego i został przez to nieśmiertelnym aż po koniec świata. Pobożny ten uczestnik świeckiego kongresu, mówiąc wiele o odkryciach i wynalazkach, podrwiwając z naturalisty, któremu się uda znaleźć „jaką nieznaną muchę lub roślinę, nieobjętą katalogiem botaników,“ oświadczył, że „na tym pierwszym zjeździe artystyczno-literackim, wobec tylu *powag naukowych* ośmiela się“ stanąć jako odkrywca „nieznanego“ wiersza Kochanowskiego p. t. *Cantio per modum precationis contra Moscos*. Cudownie „odkryty“ wiersz był istotnie „nieznany...“ szan. uczonemu; co do innych bowiem znawców literatury, ci na drugi dzień pośpieszyli z wiadomością w dziennikach, iż *Cantio* nietylko znajduje się w dodatku do wydania Turowskiego, lecz nawet nie jest utworem Jana z Czarnolasu, jako strasznie niedołężne wierszydło — godne zaledwie organisty, a nie natchnionego piewcy. W ten sposób pobożny referent ośmieszył zjazd, chociaż niedorzeczność w gruncie rzeczy spada tylko na samego „odkrywcę.“ Bądź co bądź grzmot oklasków, jakimi go obsypano, wypowiedział tę cierpką prawdę, że łatwiej u nas o uznanie, niż o zasługę i rozum — zwłaszcza „wobec tylu powag naukowych.“

Dalszy tok posiedzenia nie zawierał już humorystycznych debiutów. Sympatyczny artysta-malarz p. L. Benedyktowicz poruszył sprawę czasowych wystaw artystycznych ku poparciu rodzinnej sztuki, czego pierwszą myśl rzucił Siemiradzki podczas jubileuszu Kraszewskiego. Referent odczytuje w tej sprawie szczegółowe wypracowanie, z którego wyjmujemy: 1) wystawy ogólne, czasowe, odbywać się będą co 5 lat na przemian w Krakowie i we Lwowie; 2) na wystawę przyjmowane będą utwory pędzla, ołówka, rylca, dłuta oraz z działu budownictwa: plany, modele i rysunki, tyczące się kompozycyj w zakresie architektury wykonanych; 3) na wystawach udzielane będą nagrody w medalach złotych, srebrnych i bronzowych. Wnioski p. Benedyktowicza zjazd uznał słusznie za ważne i polecił Kołu lit. art. w Krakowie zajęcie się całą sprawą.

Nastąpił referat p. K. Bartoszewicza o założeniu towarzystwa pomocy dla wdów i sierot pozostałych po artystach i literatach. Zarys statutu powiada: Celem towarzystwa jest niesienie pomocy członkom dotkniętym ciężką chorobą, oraz wdowom i sierotom po członkach pozostałym. Środkami do osiągnięcia tego celu są: składki członków, dochody z odczytów, balów, przedstawień itd. Towarzystwo składa się z członków zwyczajnych, popierających i honorowych. Członkami zwyczajnymi mogą być tylko artyści i literaci; składka roczna 4 zł. Członkami popierającymi — wszyscy, co dadzą jednorazowo 100 zł. lub obowiązą się do uiszczenia składki rocznej 20 zł. Członkami honorowymi: ludzie uznani za działających skutecznie dla dobra towarzystwa, a przez walne zgromadzenie wybrani. Stałem siedliskiem stowarzyszenia jest Kraków. Pożyteczną tę instytucyę wprowadzić w życie postanowiono.

Z uchwał następnych posiedzeń podnieść należy sprawę korespondentów do pism zagranicznych, którą w swoim czasie poruszyła *Prawda*. Po trzeźwem przemówieniu p. J. Kamińskiego adwokata z Warszawy, zapadła uchwała następującej treści: Zjazd literatów i artystów polskich w Krakowie wyraża życzenie, aby redakcye pism polskich, za granicami Królestwa Polskiego, zamieszczające wiadomości z ziem pod panowaniem rosyjskiem zostających, przestrzegały ściśle prawdy faktycznej i unikały jaskrawej barwy w formie tam, gdzie fakt i rozwaga barwy tej nie usprawiedliwiają. Uchwała, jak widzimy, jest — oby tylko pp. korespondenci zechcieli o niej pamiętać.

---

młoda, ze wzrokiem obłąkanym i groźbą w całej twarzy.

Z początku mówiła niewyraźne, choć głośne przekleństwa. Przebiegłszy próg, stanęła nagle i rozejrzała się dokoła, a potem skierowała się wprost ku mnie z pięścią zaciśniętą. Dopiero, gdy stanęła przy mnie, zrozumiałam słowa, coraz szybszym i gwałtowniejszym potokiem z ust jej płynące,

Zabiłaś mnie i moje dzieci! — wołała. Obałamuciłaś go, uwiodłaś słodkiemi słówkami... Sama śpisz na puchach a mnie niedługo na bruk wyrzucą z sześciorgiem moich dzieci i jego... Dał mi trochę pieniędzy, kazał wyjechać: przyrzekł potem być z nami niedługo... Pieszo tu przyszłam... pokaleczyłam nogi, szukając go; powiedzieli, że wziął ślub tydzień temu z młodą i ładną... Ja mu ją odbiorę, bo przez nią jęczą tam moje biedne dzieciny... Strzeż się, żmijo!

Widziałam męża mego, jak stanął nad obłąkaną kobietą i wpół ją ująwszy, ku drzwiom prowadził; słyszałam potem gwałtowne szamotanie się, jęki przytłumione, a wreszcie jeden okrzyk radości, jakby wyzwolenia... Już, jak przez sen, dojrzałam tę samą kobietę waryatkę, czy tylko nieszczęśliwą, wprost ku mnie lecącą z rękami wyciągniętemi i pozaginanemi palcami. A później uczułam ciężar gwałtowny na szyję mi opadający i ból wpitych paznokci...

Otworzywszy oczy po długiem zemdleniu, dostrzegłam przez szpary zamkniętej okiennicy drgające promienie jasnego, południowego słońca; przy łóżku mojem, na dywanie, drzemała służąca, która miała zlecone zapewnie czuwać nade mną.

Rozejrzałam się trwożliwie dokoła, czy gdzie nie było męża. Ogłuszona, pamiętałam to, co zaszło, zaledwie w połowie; pozostała mi jakaś niemoc w całem ciele i ból fizyczny w szyi. Pomimo to, zbudziłam drzemiącą sługę i kazałam się ubierać.

Opuściłam progi, śród których ofiarą młodości swojej i szczęścia okupiłam poznanie pulsu życiowego takim, jakim drga na prawdę, nie zaś w sentymentalnych romansach lub w błędnych pojęciach rozmarzonej szesnastoletniej dziewczyny. Uzbrojona w doświadczenie, teraz dopiero miałam z samowiedzą odpierać pociski losu — teraz, gdy zewsząd ogradzały mię wydarzenia przeszłości, których wycofanie nie w mojej było mocy!..

Pierwsze myśli zwróciłam ku Feliksowi: jak ciężko zawiniłam względem niego nagłem potępieniem! W miarę poznawania życia przebaczałam mu to, co uważałam dlań początkowo za niezmazaną hańbę. Teraz wielbiłabym go chyba, jak dawniej, tylko nie w ślepem uniesieniu i nie jako ideał, lecz z całą rozwagą, jako człowieka o popędach i namiętnościach ludzkich, tylko stokroć po nad innych wyższego, bo okupującego pokutą to, co inni, jak zabawkę, jak szał chwilowy, w niepamięć puszczają.

Nie czułam w sobie nigdy popędu do wiary w fatalizm, ale mogły ją zrodzić koleje życia mojego, ta jakby umyślna kara, rzucona na mnie przez ostatni wypadek za odtrącenie Feliksa. Nie uwierzyłam w fatalizm, bo nie zasłużyłam na karę. Niech odpowiedzą za mnie ci, co puścili mię w świat z zamkniętemi oczami i dłońmi związanemi. Życie samo dopiero podnosiło mi ciężkie powieki i rozwierało ramiona do boju.

Stało się ze mną to, co następuje z dzieckiem, uczącem się bez wskazówek: sądzi, że dobrze czyta, a książkę wspak trzyma; dopiero przechodzień jeden to, drugi coś innego mu wskaże, aż w pocie czoła zacznie ono składać litery prawdziwe.

Dla mnie przechodniem tym i doradcą były własne koleje, własne łzy i cierpienia....

Z dziesięciodniowym mężem moim żyć nie chciałam, choć łaskawi doradcy tłomaczyli, że nie mam powodu zrażać się doznaną przykrością; że każda panna, wy-

Żywotną również sprawę podjął p. A. Parczewski z Kalisza — sprawę wzajemności literackiej z ludami słowiańskimi. Wywody jego dają się ująć w następujące słowa: pożądaną jest wzajemna wymiana czasopism literackich i naukowych z wydawnictwami mniej nam znanych ludów słowiańskich, jako to: ze słowakami, łużyczanami, słoweńcami, chorwatami, serbami, bulgarami; dalej pożądanem jestześrodkowanie handlu księgarskiego rzeczami słowiańskiemi w jednej z księgarń krakowskich i wydawnictwo ogólno słowiańskich bibliografij; nakoniec byłoby do życzenia, ażeby w literaturze polskiej pojawiały się źródłowe opracowania na polu literatury, historyi, etnografii i językoznawstwa ludów słowiańskich.

Oto i wszystko, co zasługuje na rzeczywistą uwagę i co może dać pomyślne wyniki. Nie jest to zresztą tak mało; życzyć tylko należy, ażeby nie poprzestano na uchwałach, jak to dość często bywa na tym bożym świecie. Zdaje się jednak, że wniesiona także na zjezdzie sprawa własności literackiej, pomimo uchwał, pozostanie tylko pięknem marzeniem, czemu nawet dziwić się nie będziemy. Niespożytej jej wziętości na wiecu nikt nie przewidywał— nawet zapewne sam referent dr. Rozenblatt. Zjawiła się ona na obradach, że tak powiem, z rozpaczy, w ostatniej chwili. Wprawdzie, gdy rozsyłano po dziennikach program zjazdu, mieściła się już na porządku dziennym, ale na takichże prawach, jak inne, których nietknięto i o których wiedziano, że zejdą do grobu cicho, zapoznane, bez pokuszenia się kogokolwiek na ich czysto formalne istnienie. Dopiero w ostatniej chwili, komitet, widząc się po części zawiedzionym w swych oczekiwaniach, chcąc przecież czemś zapełnić obrady, w braku lepszego przedmiotu, pomyślał o sprawie własności literackiej—tak, iż p. R., jak sam wyznał, miał tylko dwa dni czasu do przygotowania referatu. Dlaczego tak lekko traktowano tę sprawę, zapewne wyjaśniać nie trzeba. *Prawda* uczyniła już to w ostatnim numerze. Ale innego zdania była pewna część obradujących. Gdybym chciał być złośliwym i nie bał się posądzenia o sprzyjanie hodowli u nas bandytyzmu autorskiego — powiedziałbym, iż niepokalanie dziennikarskie znalazło sobie na obradach gorących zwolenników w tych właśnie, co najmniej pamiętają o niem. Dalej powiedziałbym, że była to arena dla popisów młodocianych Demostenesów i literackiego drobiazgu. Kto tylko umiał skleić jako tako zdanie, puszczał się wspaniale na rozprawę i sądził, że świat zdumiony legnie mu do nóg. Wybitny udział w tej rozrywce brał także p. Piltz z Petersburga, o którego niespożytych laurach na zjezdzie krakowskim dowiedzieliśmy się dopiero z gazet rosyjskich. Utworzenie syndykatów żarliwego miało w nim (*risum teneatis amici!*) obrońcę. Dobrą zrobiło uwagę jedno z pism o zabawce w dygnitarzy i dmuchaniu na to, co sami zapalamy. Dla scharakteryzowania humorystycznego nastroju dysputy podaję, że ktoś tam domagał się nawet, aby referat wnieść do... sejmu i wołał: panowie, jesteśmy w państwie konstytucyjnem! Inny, zdaje się ks. Polkowski, przysięgał, że „czy ukraść grosz, czy guldena, wszystko jedno,“ a p. Szymanowski, oczywiście „uważa za stosowne dodać ze swej strony, iż jako uczestniczący dość pilnie w kongresach międzynarodowych może zapewnić, że“ itd.

Sprawozdanie moje z wiecu winienem uzupełnić jeszcze kilku szczegółami. Na pierwszem posiedzeniu przewodniczył obradom p. J. Zacharyasiewicz, na drugiem p. Danielewski, zasłużony pracownik w sprawie uobywatelenia ludu, na trzeciem p. Władysław Zawadzki, znany sędziwy literat ze Lwowa. Pierwotnie chciano także powierzyć jedno z przewodnictw p. Szymanowskiemu, ale szan. członek wszystkich europejskich kongresów, pojmując zapewne, jaką mu grzeczność wyświadczono, znalazł się jeszcze grzeczniej i tym razem zrzekł się uświetnienia zjazdu swem nazwiskiem.

Wiec zakończył się pełną uroku wycieczką do malowniczych ruin opactwa tynieckiego. Poprzednich dni dane było przedstawienie w teatrze, bal w hotelu Saskim na fundusz wdów i sierót po literatach i artystach, wreszcie uczta w sali Towarzystwa strzeleckiego, na której popisywano się krasomówstwem. Krakowska stańczykierya udziału w nim nie brała, co tylko mogło mu wyjść na dobre.

Następny zjazd postanowiono urządzić we Lwowie. Termin nieoznaczony.

Prawdzic.

LISTY PETERSBURSKIE.

13 października.

Wszędzie wewnętrzna polityka. — Co widzieli sprawozdawcy gazet petersburskich, a czego ja nie widziałem. — Procesya, wieńce, deputacye i mowy.

„Kochana ciociu—powiada Szczedryn—nawet wobec tylko co zastygłego trupa nie przestaje trapić nas widmo polityki wewnętrznej. A tak jesteśmy zajęci tą wewnętrzną polityką, iż nie wiem, o czem mówilibyśmy, gdyby ona nie istniała; chyba, w milczeniu siedząc naprzeciwko siebie, szczękalibyśmy zębami *).“

Słowa te przypadkiem wpadły mi w oko, gdy zabierałem się do sprawozdania o pogrzebie Turgeniewa. Chciałbym wierzyć, iż były na tym pogrzebie i łzy i smutek, a może widok tego publicznego hołdu natchnął kogo i usposobił do wzniosłych porywów serca; mnie jakoś ciągle dławiła zmora „wewnętrznej polityki.“ Poprzedzając zwłoki wielkiego człowieka, myślałem: oto przynajmniej niezaprzeczone ogniwo łączy nad świeżym grobem w bratnim uścisku dłonie zwaśnionych, a wspólnie oddana cześć zacnej pamięci może utrwali zawiązujące się nici wzajemnej sympatyi. Przypominała mi się owa moskiewska idylla, kiedy to przed cieniem wielkiego zmarłego poety bratali się ludzie najróżnorodniejszych obozów. Łudziłem się tak naiwnie—do następnego ranka.

Na drugi dzień przeczytałem w *Mosk. Wiedomostiach* nowe doniesienie Muraszki, skazującego nas na zagładę za to, że przenosimy oberka nad kozaka i posądzającego nas o rewolucyjne zamiary, bo ktoś gdzieś przemówił do niego po polsku. Zaraz naturalnie ozwało się *Nowoje Wremia*, za nim inne pisma — i, niby przypadkowo, znowu „kwestya polska“ zapełnia łamy dziennikarskie.

Ach, panowie, może już dosyć tej wewnętrznej polityki, a przynajmniej jakoś tak natychmiast po dniu, gdyśmy razem kładli wieńce na mogiłę, wytrębywać starych bredni nie wypada. Zresztą nie wiem, może właśnie w tem natychmiastowem rozpoczęciu wojny z wiatrakami leży jedna z tajemnic wewnętrznej polityki; co do

*) *Listy do ciotuni*, 1882, VII.

---

chodząc za mąż, na coś podobnego w mniejszym lub większym stopniu przygotowaną być powinna. „Małe dłużki przeszłości, to u mężczyzny rzecz tak zwyczajna“—dodawano.

Ach, czemuż dawniej nie powiedział mi kto tego; czemuż dawniej nie wiedziałam, że chwilowe namiętności — to rzecz zwyczajna, a przyznanie się i pamięć o nich przez całe życie chlubą, szlachetnością serca męskiego!

Nie zrozpaczyłam zupełnie, los bowiem dał mi chwilę słodkiej nadziei macierzyństwa. Pieściłam w myśli nieraz długo małą główkę dziecinną i snułam szereg marzeń dla przyszłego chłopca lub dziewczynki. Miałam je prowadzić ostrożnie po stopniach życia, chować w prawdzie, w świadomości tego, co nas otacza dokoła, aby późniéj pomyłki nie stargały im przyszłości, dłuższej w wieku młodym, niż przeszłość...

Raz, pogrążona w takich rozmyślaniach, siedziałam w dawnym gabinecie mego ojca; szary zmrok zasłaniał całkowicie postać moją, w głęboki fotel wsuniętą i tyłem do drzwi wchodowych obróconą.

Ktoś zadzwonił: służący wprowadził po chwili dwie panie nieznajome, które oczekując na matkę moją, usiadły na kanapie, o kilkanaście kroków zaledwie odemnie oddalone.

Matka nie nadchodziła; one zaczęły coś szeptać półgłosem.

Z początku nie zwracałam na nie uwagi; po chwili jednak doleciało mię parę słów, głośniej wypowiedzianych, z których poznałam, że o mnie i o obecnym moim losie była mowa.

— Biedna kobieta, żal mi jej serdecznie. Bóg raczy wiedzieć, jak się jeszcze z nią może skończyć—rzekła jedna,

— Prawda, prawda—dodała druga; oddali ją na pastwę człowiekowi przeżytemu i zniszczonemu do gruntu — nieświetne to może mieć następstwa!

Matka weszła; rozmowa przerwała się raptownie, lecz w mojej pamięci pozostała wyryta złowrogiemi zgłoskami.

Zabrano mi już i marzenia moje.

W ciągu dnia zajęciami rozrywałam podrażniony umysł; lecz o szarym zmroku, wieczorami i przez całe noce aż do żwawych świtów wiosennych dręczyły mię widma, coraz to groźniejsze. Chciałam, a nie umiałam zapanować nad dzieciństwem swojem, czy też słuszną obawą.

Zachorowałam ciężko: los chciał mi wydrzeć życie, lecz wolał je zostawić dla biednej małej istoty, która go odtąd potrzebowała. Długiemi cierpieniami i bólem okupiłam przyjście na świat dziecięcia — kaleki.

Jeżeli nie przypadek lub moja własna wina, lecz rozpusta ojca uczyniła je niedołężnem w zarodku, to koleje życiowe rozwidniały umysł mój w sposób okrutny, prowadząc do poznania tego, co było „złem i wstrętnem“ —nie urojonem, lecz prawdziwem.

Ani jedno zatem z poprzednich marzeń moich nie miało spełnić się w rzeczywistości: pogrzebałam je wszystkie i opłakałam...

Potrzebą dla serca miłości, potrzebą celu dla umysłu, potęgą współczucia, żalu i litości przywiązałam się do biednej mej dzieciny, która, prócz mnie i wiernej kotki, nie ma na świecie nikogo! Nieraz, opanowana samolubstwem, przestaję złorzeczyć losowi, że nie dał mojej małej ruchów dowolnych i mowy. Teraz ona należy do mnie wyłącznie: ja nią rozrządzam, prócz życia, śmierci i choroby, które moc nad nią mieć mogą. Zdrowe i czerstwe dziecię moje byłoby własnością świata, zarówno jak moją: w końcu matka ginie wobec praw społecznych...

Czcze to jednak rozumowanie: kochający i rozsądni rodzice żyją w odrodzeniu się swojem, nawet widząc je na najodleglejszym krańcu świata. To też znowu wstyd mi tej logiki samolubstwa.

Tu właściwie koniec opowiadania.

mnie, czytam cytowane dzieło znakomitego satyryka i pocieszam się.

Ale i reporterowie, którzy zastosowali zasadę *de mortuis nil nisi bene* nietylko do zmarłego, ale i do pogrzebowej ceremonii, mimowoli jednak przyznali się, że i ich trapi ta sama zmora. Oto *Nowosti*, a za niemi i inne pisma, zachwycają się tem, że porządek był ściśle zachowany i że nic zakłóciły go żadne bezmyślne manifestacye. Ciekawym, dla czego by porządek nie miał być zachowany? Czy to oddanie czci zwłokom wielkiego pisarza nie może być jedynym celem zebranych, tylko środkiem, a raczej środeczkiem do okrzykiwania swoich przekonań? Uczestnicy i świadkowie procesyi należeli do tak zwanej, jeżeli już użyjemy słownictwa gazet rosyjskich — inteligentnej klasy. Ktoś, nie wiem na jakiej zasadzie, obrachował, iż patrzyło na pochód 150 tysięcy ludzi. Zdaje się, iż całe to obliczenie zrobiono dla dorównania milionowi, który miał odprowadzać zwłoki Gambetty. Zgadzając się nawet na nie, muszę przyznać, iż prostego ludu nie było więcej nad 5—10% ogólnej sumy. Charakteryzować nastroju publiczności nie będę; byli... tacy, co widzieli łzy i mdłości, przebudzenie się samowiedzy ludowej i wiele innych rzeczy; ja tego nie widziałem, ale snadniej było reporterom na swoim gruncie dojrzeć to, czego obce oko nie zdoła. Uderzyło mnie tylko, że nigdzie nie słyszałem słówka o osobie zmarłego, tylko pochwały lub nagany wieńców. Wogóle pochód robił wrażenie podniosłe. ale nie oddziaływał wcale na uczucia zgromadzonych. Brak orkiestry i nędzne chóry, być może przyczyniały, się do tego.

Ciało przybyło do Petersburga o godz. 10 m. 20, a wraz z niem jechało wiele wieńców, które później rozdano do niesienia studentom lub umieszczono na karawanie. Co prawda, ten ostatni z oberwanem czarnem suknem i tandetę przypominającemi ozdobami wyglądał, nim go przystrojono, bardzo nieświetnie. Trumna dębowa, ze złoconym krzyżem, na niej portret (pośmiertny) zmarłego i nadpis:

Ivan Sergeevitsch Turgenieff
né en 1818, mort le 22 août 1883.

Na trumnie wieńce: adwokatów moskiewskich, marszałka szlachty, studentów kijowskich i wiele zagranicznych. Na baldachimie złożono palmowy wieniec adwokatów petersburskich, sędziów pokoju itd. Opisać wszystkich deputacyj (około 200), poprzedzających karawan, niepodobna. Jakoś wogóle dziwnie wyglądała mała liczba osób w każdej deputacyi; pochodziło to z niezrozumienia rozporządzeń p. naczelnika miasta. Pochód rozpoczynała delegacya włościan z majątku Turgeniewa; z tych jeden tylko był w stroju ludowym a 5 w surdutach. Młodzież wyższych zakładów naukowych wystąpiła przy swoich wiankach tłumnie i w masie była dopuszczoną na cmentarz, gdzie starała się utrzymać porządek. Zauważyłem bardzo wiele deputacyj kobiecych—bardzo słusznie, gdyż postacie niewieście w utworach nieboszczyka, to najsympatyczniejsze typy. Odznaczał się wieniec studentów petersburskich: sztuczne kwiaty, pośrodku duży portret zmarłego i żałobne atłasowe wstęgi z tytułami dzieł Turgeniewa. Wieniec studentek i studentów polaków w Petersburgu, dość duży, metaliczny, otaczał grafitową tarczę z głoskami *I. T.* i napisem po rosyjsku i polsku: *Pisarzowi i obywatelowi.* Podobny i od polskiej kolonii w Petersburgu: wstęgi metalowe na aksamitnem tle, ozdobione dewizą zmarłego: „Jam zawsze mówił prawdę, byłem uczciwy i serdecznie kochałem;“ u dołu napis: *Polacy*. Najpiękniejszy był wieniec „galeryi portretowej rosyjskich uczonych i literatów.“ Olbrzymich rozmiarów, z ogromną złotą lirą pośrodku, ze złoconymi festonami zwracał powszechną uwagę. Wieńce, które ofiarowała zmarłemu prasa były wogóle nader skromne.

O godz. 3-ej orszak przybył na cmentarz i trumnę ponieśli robotnicy do świeżo wykopanej mogiły. Grób nie murowany, lecz zwyczajnie wykopany w ziemi: u dołu obciągnięty błękitnym atłasem, u góry ubrany kwiatami! Nad nim wypowiedziano pogrzebowe mowy.

Wogóle, jak uważałem, mowy te, chociaż piękne, nie sprawiły oczekiwanego wrażenia; może dlatego, iż nie wspomniały o najpiękniejszej cnocie charakteru Turgeniewa—o jego patryotyzmie, a na tej strunie można wygrać rzewną symfonię. Co prawda, na pogrzebie tak dotykalnie czujemy wielkość znakomitych ludzi, że wygłaszane dla nich pochwały zawsze wydawać się nam będą niedostatecznym wyrazem ożywiających ogół uczuć.

Pierwszy mówił p. Beketow, rektor tutejszego uniwersytetu, botanik. Wychodząc z przyrodniczego stanowiska, wskazywał na najdobitniejszy przykład nieśmiertelności—niespożywalność siły. Być może, tysiące gwiazd, które widzimy na sklepieniu niebieskim, dawno już zgasły; my jednakże zawsze odczuwamy drgania eteru, którym początek niegdyś dały nieistniejące może światy. Pewna kombinacya materyi zniszczy się, ale siły, będące funkcyą tej materyi, nie przestają istnieć, zmieniając nawet swoją postać. Jak światło i ciepło słoneczne jest źródłem wszelkiej siły na ziemi, tak moc geniuszu ujawnia swój wpływ we wszelkich zjawiskach społecznego życia. „Jeżeliby nawet zapomnianem zostało nazwisko wielkiego pisarza, to akordy, które dodał zmarły do psychicznej symfonii ludzkości, nie zaginą nigdy.“ Następnie charakteryzował mówca cześć zmarłego dla nauki, miłość bezinteresowną dla sztuki i przywiązanie do postępu. „Gdyby wszyscy myśleli i działali, jak on, idea postępu nie znalazłaby przeszkód w swojem zastosowaniu.“

Prof. Muromcew przypomniał, iż Turgeniew był studentem moskiewskiego uniwersytetu. Mówca uwydatnił wpływ dobroczynny dawnej wszechnicy na zmarłego i zakończył dziękczynnemi słowami w jej imieniu. P. Grigorowicz mowę swoją odczytał z wielkiem uczuciem. Scharakteryzował on Turgeniewa jako literata, jako malarza wdzięków przyrody i pięknych stron ducha ludzkiego; zmarły zawsze i wszędzie pozostał wiernym swemu godłu: jam kochał serdecznie, byłem uczciwy i mówiłem prawdę. Zwracając się do literatów, p. G. prosił, aby starali się naśladować wielkiego człowieka. „A dla nas, starych jego towarzyszy — zakończył płacząc—pozostaje tylko powiedzieć: żegnaj drogi przyjacielu, do widzenia!“

P. Pleszczejew wierszem określił Turgeniewa jako poetę, myśliciela i człowieka. W końcu rzekł:

Wieńczymy grób twój teraz kwiatami,
Ciało twe leży pod trumny wiekiem,
Lecz myśl o tobie wciąż będzie z nami,
Boś ty, naprawdę, wielkim człowiekiem.

W. Ż.

Z Heidelberga.

Wrzesień, 1883.

III.

Amsterdam, a w środku jego Krasnapolski.—Fizycgnomia miasta.—Wycieczka na morze, które ma się stać

Po nagłych i szybkich wypadkach nastąpił szereg dni, odmiennych dla mnie tylko porami roku, ciepłem i zimnem, światłem i mrokiem w powietrzu, zresztą spędzanych na ciągłem staraniu około niemowlęcia kaleki i rosnącej powoli niemej dziewczynki. Do waryactwa, do melancholii i samobójstwa nie byłam skłonną; lecz nieszczęścia wyrobiły we mnie takie lekceważenie sądów i zwyczajów światowych, że mogłam wobec tłumu popełnić najdziwaczniejsze szaleństwo, nie bojąc się piętna opinii publicznej i utraty tak zwanego dobrego imienia. Nie taką zapewne chciała mnie mieć matka moja, szczerze do wszelkich form zewnętrznych przywiązana, ale pojęcia nasze rozbiegły się. I cóż w tem dziwnego? Zasłaniając życie przede mną, nie ugruntowano w umyśle moim przekonań i poglądów żadnych: musiałam je stworzyć dla siebie sama, a raczej zostawić wypadkom kolej ich powstania...

Feliks w kilka miesięcy po mojej odmowie ożenił się z biedną, prostą a uczciwą dziewczyną, której nie kochał, w której znalazł jednak to, czego szukał: dobrą i staranną opiekunkę, matkę dla syna swego. Przeglądając raz pisma, przeczytałam doniesienie o nagłej śmierci młodej tej jeszcze i podobno zdrowej kobiety. Był więc wolny: że mnie pamiętał, zgadywałam to intuicyą, właściwą sercom niewieścim; szeptał mi to zresztą jego obraz, który w duszy nosiłam wiernie i stale... Po raz pierwszy dopiero zaczęłam żałować, iż ja również wolną być nie mogłam...

Przeniosłam się do matki; męża mego widzieć, ani też o niem słyszeć nie chciałam. Nie śmiano przy mnie wspomnieć imienia jego; dlatego też o rozwodzie nigdy nawet nie było mowy.

Potem on wyjechał bez śladu, nie zostawiwszy, ani też nie nadsyłając wieści żadnych o sobie; może umarł... Lecz na mocy luźnych przypuszczeń kościół rozwodu nie daje. Jedna zatem krótkotrwała forma przywiązywała nazwisko moje i wolność do człowieka wzgardzonego. Im bardziej czułam się skrępowaną, tem silniej rosła w piersiach moich potrzeba swobody i szczęścia, choćby chwilowego, nikłego, jak wszystkie złote mary...

Matki, puszczające samopas niemowlęta, które zaledwie czołgać się umieją, nie do nich powinny mieć żal, jeżeli słabe istoty na pierwszym, drugim lub trzecim przestąpionym progu potkną się i upadną; boć nie nauczywszy ich chodzić, zaufały wątłym i niedoświadczonym siłom... Wyznaję bez wstydu, iż miałam chwile, w których chciałam wezwać Feliksa i, nie mogąc być żoną jego, żyć z nim bez ślubu... Opinia ludzi byłaby nazwała krok ten upadkiem; lecz obcy więcej, niż własna matka, mieliby prawa wyrzucać mi go i potępiać mię... W mojem pojęciu nawet wówczas, gdyby świat cały odsądził mię od czci i honoru, za jedyną plamę dla siebie w ciągu dni minionych uważałabym krótkie pożycie z człowiekiem znienawidzonym, sprzedanie siebie dla przerwania nudy...

Ale i za to nie ja byłam odpowiedzialną, lecz ci, co ukrywali przedemną *prawdę* życia.

Nie napisałam do Feliksa, nie wezwałam go: on miał dzieci, ja, choć kalekę, ale miałam córkę...

Na walkę, jaką przebyła miłość z obowiązkiem macierzyństwa, rzucam zasłonę... Jemu nie zamąciłam spokoju pamięcią swoją; zwycięstwo w mojem sercu odniósł anioł stróż, chora, biedna dziecina.. Jej poprzysięgłam wieczne i jedyne starania, a wspomnienie matki, jeżeli je zaćmiony umysł dochowa, nie będzie dla niej nigdy bólem i cierpieniem.

Bo tak ciężko żyć z żalem w duszy, z goryczą względem tych, co nas zrodzili!

C. Z.

ogrodem na kapustę. — Wystawa: dwie bramy; pałac główny; gdzie leżą miasta: *Białistok* i *Lodz?* — Kawałek prawdziwej Azyi; kocia muzyka; cyrk bez koni; pałac kolonialny i inne. — Zjazd przyrodników i lekarzów w Fryburgu.—Posiedzenia ogólne, odczyty; posiedzenia sekcyi. — Zabawy i wycieczki.

A teraz słów kilka o Amsterdamie i wystawie. Słów tylko kilka, bo i o mieście i o wystawie albo bardzo obszernie, albo bardzo zwięźle pisaćjedynie można. Stolica holenderska, zwana Wenecyą północy, przedstawia się świetnie: ruch w niej ogromny, dużo pięknych gmachów, śliczne kanały, ocienione staremi drzewami, czystość wzorowa wewnątrz i zewnątrz domów, które, jak w Lejdzie, prawie wszystkie stoją pochyło. A któż nie słyszał o Krasnapolskim? Toż właściciel najpierwszej w Amsterdamie, a niektórzy mówią w świecie, restauracyi i kawiarni, oświetlonej elektrycznością dwóch systemów, mającej sale o kilkudziesięciu bilardach, o ścianach wyłożonych muszlami i jaśniejących żyjącą zielenią roślin wodnych i egzotycznych; kiedykolwiek ją odwiedzić, zawsze tłumy gości zalegają olbrzymi lokal: nie dziesiątki, ale seciny posługaczy uwijają się tam jak mrówki, a publiczność tysiącami go zwiedza. Krasnapolski, jak to widać ze zmiany brzmienia w nazwisku, nie jest polakiem, chociaż z polaka się rodzi i ma dla nas żywą sympatyę. Doszedł do wielkiej fortuny z niczego wielką pracą i bystrością. Ma dziś pierwszorzędną restauracyę, kawiarnię, hotel i tak zwany ogródek, a holendrzy, chcąc wskazać drogę przybyszowi w Amsterdamie, uważają zakład Krasnapolskiego za punkt wytyczny i oryentujący.

Sercem, środkiem miasta i węzłem tramwajów jest plac, zwany Dam (tama; gdy dodamy do tego nazwę rzeczki Amstel, przepływającej miasto, to otrzymamy wyjaśnienie imienia miasta i zrozumiemy, dlaczego po łacinie Amstelodamum się nazywa). Okalają go: wielki, ponury pałac królewski, kościół główny, dość piękny, giełda i inne duże gmachy. Starsza część miasta, gęsto przerżnięta koncentrycznymi kanałami. ma domy wąskie a wysokie, ciemno malowane lub czerwieniące się barwą cegły naturalnej; przedmieścia zabudowane są nowemi, dużemi i prosto stojącemi kamienicami, w stylu powszechnie-europejskim. Hoteli mało, stąd też przyjezdni długo się nieraz mozolą, zanim znajdą pokoik, choćby w domu prywatnym i za drogie pieniądze. Amsterdam, jak i cała Holandya, odznacza się drożyzną; śmiało powiedzieć można, że co warte w Niemczech markę, to tam się florynem opłaca, a floryn, to dwa franki.

Drobne parostatki pływają gęsto po kanałach; jeden taki uniósł nas do Zeeburga, nad morzem Zuyderzee; udaliśmy się tam, aby pożegnać tę piękną masę wody, bo, jak wiadomo czytelnikowi, zniknąć ma wkrótce i obrócić się w żyzną dolinę. Mijaliśmy wspaniałą komorę, oddzieloną od miasta bardzo szeroką przestrzenią wód, przyjrzeliśmy się wielkim statkom handlowym, gotującym się do podróży azyatyckiej, zachwycaliśmy się śliczną panoramą niknącego z oczu Amsterdamu i w godzinę stanęliśmy przy grobli, na której drobna osada Zeeburg stoi. Widok z niej piękny, oryginalny, specyficznie holenderski: płaskie brzegi, tamy, bezbrzeżne morze sinawe, na nim statki większe i mniejsze, w oddali wieże i kościoły stolicy, a wśród nich niezbędne wiatraki.

Nie będę się rozpisywał o bogatem muzeum, w którem nad spodziewanie mało widać obrazów mistrzów szkoły holenderskiej, o ogrodzie zoologicznym, bardzo obszernym i bogatym, o teatrach i teatrzykach, w których się siedzi w kapeluszu, pije piwo i pali cygaro, podobne są one do tego rodzaju zakładów w całej Europie. Spieszmy na wystawę, bo to tu główna *attraction*, jak mówią anglicy.

Wstęp do niej imponujący: potężny gmach z czerwonej cegły, wewnątrz niewykończony jeszcze, pięknej architektury w stylu odrodzenia, służy za pierwszą niejako bramę wystawy; pozostanie on nadal jako muzeum sztuk pięknych i starożytności: obecnie mieszczą się w jednem jego skrzydle okazy sztuki azyatyckiej i średniowiecznej, nadesłane ze zbiorów prywatnych. Drugą bramę, niby kolosalne propilee, stanowi pyszna budowa biała, wysoka, w stylu świątyni indyjskiej, zdobna w wyobrażenia słoniów, bóstw indyjskich, twarzy słonecznych i rynsztunków azyatyckich, u góry przystrojona różnobarwnym festonem, przez całą szerokość wiszącym, nakształt olbrzymiego szala tureckiego. Brama ta wydała mi się najpiękniejszym gmachem na całej wystawie; szkoda że runie ona wkrótce i pozostanie tylko w pamięci tych, co ją widzieli i na rysunkach. Jest prócz tego kilkanaście pawilonów wcale ładnych, ale nie wychodzących za granicę rutyny wystawowej; jeden może pałacyk z ciekawą wystawą tunetańską (wszystko już tam z francuska!) wytwornym stylem maurytańskim zwraca uwagę. Gmach główny, jak zwykle, obszerny, zapełniony najpiękniejszymi wytworami kunsztów przemysłowych Europy; smakiem, jak wszędzie, góruje Francya, Belgia i Austrya. Niewielką tam przestrzeń zajęła Rosya, a wśród jej futer, marmelad, skór i wyrobów srebrnych, dostrzegamy dwa pawiloniki, z napisami: *Białistok* i *Lodz*; jeden mieści sukna, drugi płótna; nazwiska wystawców są niemieckie. Może dlatego, że dawno już uczyłem się gieografii, nie mogłem sobie przypomnieć, w której części Niemiec leżą miasta powyższe; prawdopodobnie w prowincyi zwanej *Annectanda*...

Lepiej na wystawie wyjdziesz, czytelniku, udając się nie prawą, lecz lewą drogą od wejścia. Po kilku minutach znajdziesz się w czystej Azyi.

Holendrzy pomieścili tu kawałek Jawy i Sumatry. Żywcem przenieśli wioseczkę malajską, jaką znacie z rysunków: domki małe, niskie, ciemne, przezroczyste, kryte trzciną; płoty koło nich z bambusu; w zagrodach różne zwierzęta i zwierzątka domowe; na kanale, przerzynającym wystawę, dwa mostki azyatyckie, zbudowane z bambusu, wysłane matami, trzeszczące i kołyszące się pod stopami przechodniów, przywykłych do mostów ze stali i granitu. Wśród tych altan czy namiotów, służyć mających za domy, uwija się gromada ludności jawańskiej: prawie czarni, z chińska po europejsku ubrani mężczyzni, szkaradne, strojem małpujące kucharki nasze, kobiety i dzieci w rajskiej tualecie. Gada to i krzyczy dziwnym jakimś, bezpółgłoskowym językiem, podsuwa gościom swoje fotografie, zaprasza na ryż *à la javanaise* (z pieprzem i czosnkiem), na koncert i śpiewy. Och, ten koncert! cóż to za kocia muzyka, dziwaczna, chaotyczna, poplątana, bez tonów wyraźnych! Są tam i bębny drewniane, i jakiś niby klawikord z klocków i skrzypce o jednej strunie i kociołki na desce ustawione, od dużego do maluśkiego, w które jakiś siedzący po turecku wirtuoz pałeczkami tłucze. Z początku robi to wrażenie szmeru i hałasu „wiela wód“ szumiących, albo też odgłosów leśnych, gdy się burza rozigra; po chwili, wsłuchując się, odkrywasz pewien takt, nawet od czasu do czasu parę akordów minorowych, *a* i *e*, z tą cechą charakterystyczną, że ustęp kończy zawsze *e* minor; jest tam i crescendo i decrescendo, i rallentando i accelerando; ruch ciągle na cztery; pochód chromatyczny tak dziwny, że zdaje się, jakby ktoś nasze półtony jeszcze na połowy i ćwiartki podzielił. Po godzinie takiego koncertu człowiek dostaje zawrotu głowy i takiego uczucia, jak po przydłuższej rozmowie z waryatem, albo z bardzo głupim bliźnim. Na szczęście o paręset kroków dalej gra stary nasz przyjaciel Bilse; tam więc otrząsamy się z naleciałości azyatyckich, słuchając wybornie na orkiestrę ułożonej i znakomicie oddanej rapsodyi węgierskiej Liszta.

Jest tam jeszcze duży niby cyrk drewniany, a w nim kilka domków dzikiej architektury i ze trzydzieści sztuk murzynów płci obojej, którzy spędzają czas jak u siebie, to jest właściwie nic nie robią: jeden skrobie jakąś pałeczkę, drugi patrzy melancholijnie przed siebie i bez przerwy w bębenek uderza; dzieci w stroju narodowym, to jest gołe, grzebią się w piasku; baby sprzeczają się i popychają; naokoło, z galeryi przypatruje się im ze trzystu widzów europejskich, opłacających tę przyjemność ćwiercią floryna. Czarnych naszych współludzi nic to nie obchodzi, widać że do gapienia się naszego przywykli.

Najciekawszą częścią wystawy dla lubowników etnografii, jest pałac tak zwany kolonialny. Mnóstwo tam sprzętów i wyrobów z Jawy, Sumatry, Borneo i innych osad holenderskich; obrazy olejne i rysunki, przedstawiające przyrodę i ludność tameczną, modele domów, świątyń, bóstwa spiżowe i drewniane, broń, narzędzia, stroje itd. w ogromnej ilości są tu zgromadzone. Można powiedzieć, że kto uważnie się przyjrzał muzeum etnograficznym w Amsterdamie i Lejdzie, oraz tej części wystawy, zasilonej głównie przez nie, ten wcale dokładne pojęcie mieć może o cywilizacyi i przemyśle krajowców azyatyckich, zhołdowanych przez Holandyę.

Zajmującemi prócz tego są jeszcze na wystawie: pałacyk rodziny królewskiej, w którym ona jada i odpoczywa podczas jej zwiedzania; wystawa japońska, wcale ładna i obfita; wystawa południowo-afrykańskich "Vrije Boeren" (dosłownie „wolnych chłopów,“ to jest Transvaalu), chińska, haityjska, siamska; nawet skandaliczni mormoni i skandaliczniejszy od nich *Figaro* paryski nie omieszkali wystawić się tutaj... pod pręgierz.

O niezbędnych akcesoryach wystawowych niema co i mówić: nie obejdzie się żadna bez Druza, sprzedającego róże jerychońskie i różańce z masy różami pachnącej, bez turka, częstującego *oryginalnymi* papierosami tureckimi wyrobu firmy Laferme, bez domku z taniemi wydaniami ewangielii i biblii we wszystkich językach i bez *oryginalnych* drobiazgów japońskich, które sprzedaje rodowity... belgijczyk.

Zjazd cudzoziemców z powodu wystawy jest ogromny: hotele przepełnione, a koszta jej urządzenia z pewnością się pokryją. Główny cel został dopięty: Holandya dała znak życia i zaimponowała nam skarbami swych osad zamorskich, których powierzchnia sześćdziesiąt razy przewyższa europejską dziedzinę niderlandzką.

Prawie jednocześnie z kongresem oryentalistów w Lejdzie, odbył się zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich, w Fryburgu (w Bryzgowii), od 18 do 22 września, liczba uczestników, przeważnie niemców południowych, wynosiła około 800. Obcych, z poza granic wielkiej ojczyzny niemieckiej, było, jak zwykle, bardzo mało. Ile ze spisu członków zjazdu można się dowiedzieć, brało tam udział trzech naszych rodaków: dr. Neugebauer z Warszawy, dr. Tymowski z St. Remo i profesor Jurasz z Heidelberga.

Uprzejmości jednego z profesorów wszechnicy tutejszej, który czynny brał udział w zjeździe fryburskim, zawdzięczam następne o nim szczegóły i dzielę się nimi z czytelnikami *Prawdy*.

Przyjęcie uczestników kongresu przez mieszkańców Fryburga było nietylko uprzejme, ale i wspaniałe, a przytem panował niezwykły porządek. Gospodarz zjazdu p. Claus, profesor chemii, któremu wyłącznie należy się zasługa znakomitego

przebiegu kongresu, dał dowody prawdziwie organizatorskiego talentu: wszędzie było widać starania jego o zaspokojenie wszelkich potrzeb gości i o odpowiedni rozkład czasu, jużto na zgromadzenia naukowe, już też na rozmaite rozrywki i zabawy. Zadanie to nie było łatwem, bo p. Claus nie chciał nikogo wezwać do pomocy: sam pozałatwiał wszystko, a wywiązał się z tego tak dzielnie, iż na zawsze pozostanie wzorem dla gospodarzy tego rodzaju zjazdów.

Już w przeddzień otwarcia zjazdu, 17-o wieczorem, zebrali się uczestnicy, wedle programu, w wielkiej, pięknie ozdobionej sali koncertowej, zwanej „Sängerhalle,“ w celu powitania się wzajemnego. W tej samej sali otworzył dnia następnego o 9 rano p. Claus zgromadzenie odpowiedniem przemówieniem, kończąc je okrzykiem na cześć cesarza Wilhelma i w. księcia badeńskiego. Zawiadomiono o tem natychmiast telegrafem obu panujących, którzy nie omieszkali zaraz za to podziękować. Po przemowie p. Clausa, zabrał głos minister badeński p. Nokk, witając w imieniu księcia wszystkich gości na ziemi badeńskiej zgromadzonych. Pozdrowił także zgromadzonych p. Szuster, burmistrz fryburski, w imieniu miasta, a prorektor uniwersytetu p. Weismann, w imieniu wszechnicy fryburskiej. Wkońcu nastąpiła krótka dyskusya co do wyboru miejsca na zjazd przyszły: obrano Magdeburg.

Po załatwieniu tej sprawy, nastąpił pierwszy odczyt ogólny profesora Hertwiga z Jeny o wspólnem pożyciu (symbiosis) u zwierząt. Mówca nadmienił przedewszystkiem, iż botanik strasburski prof. de Bary na zjeździe w Kassel, zajmujący miał wykład o objawach wspólnego pożycia u roślin i pobudził go do zastanowienia się nad podobnymi objawami u zwierząt. Przedmiot ten od lat pięciu zajmuje przyrodoznawców w wysokim stopniu, gdyż dostrzeżono, iż u zwierząt, równie jak u roślin, pomimo rozmaitość gatunków, okazuje się niekiedy ścisłe obcowanie w imię wspólnych interesów. Nie mówiąc wiele o zażyłości pasorzytów z niektórymi osobnikami, znamionującej się zależnością pierwszych od drugich, prelegent zajął się owym drugim rodzajem zespolenia, które się wyraża bezwzględnem skojarzeniem życia obu jednostek i polega niby na spółce, z celem wspólnej pracy i wspólnej korzyści. Ciekawy ten objaw mówca objaśnił licznymi przykładami ze świata zwierzęcego.

Drugi odczyt miał prof. Liebermeister z Tybingi, o najnowszych sposobach leczniczych. Zwrócił uwagę przedewszystkiem na okoliczność, iż medycyna przechodzi w okres rozwoju, w którym nie patologiczno-anatomiczne zmiany, lecz badania przyczynowe chorób stają się podstawą i zasadą leczenia. Przywodząc na pamięć najnowsze odkrycia owych drobnowidzowych żyjątek, które wywołują rozmaite choroby, podnosił szczególnie leczenie ochronne, uwzględniając w rysach ogólnych stosowanie innych też sposobów leczniczych.

Po dwóch tych wykładach ogólnych, nastąpiło ugrupowanie wydziałów czyli sekcyj, których, wedle programu, miało być 24. Liczba ta jednak zmniejszyła się, bo niektóre wydziały, z powodu zbyt szczuplej liczby członków, musiały się zlać albo stale, albo na niektórych posiedzeniach, z sekcyami pokrewnemi. Stale np. połączył się wydział anatomii z wydziałem fizyologii i antropologii; sekcya medycyny wewnętrznej z sekcyą neurologii itd. Wydziały te odbyły pierwsze posiedzenia 18 września. Następnych dni zgromadzały się także, czasem po dwa razy dziennie, w odpowiednich zakładach uniwersyteckich, a niektóre w wyższej szkole miejskiej i w gimnazyum.

Dnia 21 września po południu odbyło się w Sängerhalle ostatnie posiedzenie ogólne, na którem miał odczyt prof. Schweinfurth z Kairu o wycieczce na wyspę Sokotora z wyprawą Riebeckowską. Rzecz była nader zajmująca, ale trwała zbyt długo, aż do znużenia słuchaczów. Następny i ostatni odczyt wygłosił prof. Eimer z Tybingi o pojęciu jednostki zwierzęcej.

Na tem skończyły się prace zjazdu ogólne i szczegółowe. Co do ostatnich, wspomnieć należy, że z rodaków naszych, dr. Neugebauer należał do wydziału ginekologicznego, a prof. Jurasz do wydziałów pedyatrycznego i laryngorynologicznego. Obaj mieli w sekcyach wykłady i brali udział w rozprawach.

Nie można pominąć milczeniem i zabaw. Pierwszego dnia zjazdu odbyła się wieczorem wielka uroczystość nad (kopanem) jeziorkiem Waldsee, położonem tuż pod Fryburgiem, w lesie. Tysiące lamp i światełek błyszczało na wodzie i brzegach, które roiły się tłumem gości i miejscowych; muzyka wojskowa przygrywała wesołe melodye; śpiewacy fryburscy odśpiewali piękny kwartet; spalono mnósto sztucznych ogni; wśród nich ukazał się na jeziorze kunsztownie oświetlony i przez rakiety bombardowany przedpotopowy *ichtiozaur*. Wieczór był pogodny, choć zimny i zabawa udała się wyśmienicie.

19-go wieczorem odbyła się w Sängerhalle wielka uczta, na której wnoszono przezdrowia panujących, przyrodników, miasta Fryburga itd. Nazajutrz dawano bale, a 21-go urządzono koncert, poczem 22-go, po właściwem już zakończeniu zjazdu, odbyto gromadną wycieczkę koleją do Mühlheimu, a stamtąd powozami do Badenweiler, gdzie się wesoło do późnej nocy bawiono. Badenweiler, jak wiadomo, jest miejscowością ślicznie położoną, uczęszczaną szczególnie przez suchotników z powodu zdrowego górskiego powietrza i łagodnego klimatu. Są tam też i ciepłe zdroje, których już rzymianie używali; pozostały bowiem z ich czasów ciekawe i dobrze zachowane szczątki zakładu kąpielowego.

Jan Karłowicz.

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

III.

Wielu poprzedników Comte'a, a między nimi głównie Montesquieu, Condorcet, Hume, Turgot, doszli do przypuszczenia, nawet do przekonania, że życiem społecznem rządzą jakieś prawa, żaden jednak praw tych nie oznaczył. Condorcet próbował wprawdzie nakreślić szkic postępu ducha ludzkiego; dopiero jednak Comte ostatecznie i stanowczo wykazał istnienie rozwoju w sprawach socyalnych, a luźne twierdzenie, że społeczeństwo jest organizmem, którego działalność polega, według wyrażenia Arystotelesa, na *współdziałaniu za pomocą odmiennych funkcyj ku wspólnemu celowi*, stwierdził i uzasadnił wykryciem i praw i funkcyj i celu.

Podstawowy punkt widzenia na naturę organizmu społecznego znajduje Comte w rozbiorze stosunków ludzkości do jednostki i odwrotnie.

Możność bytu, rozwoju, pomyślnej walki o szczęśliwość człowiek zawdzięcza nie stwórcy i nie hojności natury. Od pierwszej chwili istnienia ród ludzki spotykał same tylko przeszkody, same siły nieprzyjazne, który pokonywać musiał ciężką, uporczywą walką. Trudne warunki materyalne pozbawiały go zupełnie możności polepszania bytu. Natura wszędzie wystąpiła jako wróg (tylko?). Aniołowie, ani siły nadprzyrodzone na pomoc nie przyszły; jeżeli istniały, to od początku samego zachowały ścisłą neutralność, pod uwagę też brać ich nie należy. Byłby też człowiek nie wzniósł się na wyższy szczebel rozwoju, gdyby się był nie połączył w grupy, wspólną pracą nie gromadził i nie ulepszał narzędzi walki, gdyby wiekowymi wysiłkami następujących po sobie pokoleń nie był zupełnie niemal zmienił postaci planety, robiąc ją coraz mniej nieprzychylną dla swych potrzeb. W naturze spotykamy tylko surowy materyał, o tyle nam przydatny, o ile go nim robi praca i umiejętność.

Ażeby lepiej zrozumieć ten stosunek, wyobraźmy sobie ludzkość nawet z dzisiejszemi jej wiadomościami i środkami, ale usuńmy pracę minionych pokoleń: miasta i wioski, kanały i drogi, mosty i okręty—rozniesmy wyrąbane lasy dziewicze i góry nierozkopane, a łatwo pojmiemy, w jakim stopniu życie nasze zależy od spuścizny ojców, a wszystko to tysiąckrotnie się powiększy, jeżeli sobie uprzytomnimy te nieustanne wysiłki myśli, genialne odkrycia i drobne nabytki wiedzy, które po wiekach, jak strumyki, zlały się w olbrzymie koryto nauki, dając nam potęgę i wyższość nad silami wrogiemi życia. Tożsamo się okaże, jeśli weźmiemy stosunek nasz do współczesnych. Miejmy wiedzę i rezultat pracy przeszłości, ale niech odjętem zostanie dobrodziejstwo społecznego życia, a potrzeba zaspakajania potrzeb najniezbędniejszych: ubrania, pokarmu, mieszkania—pochłonie nam czas cały i zrobi życie twardą walką bez wyjścia o byt najniższy, pozbawioną wszelkiego moralnego uroku.

Dochodzimy więc do tego, że organizm ludzkości posiada dwie cechy charakterystyczne, dwa niezbędne warunki: *ciągłość* i *solidarność*.

Idąc dalej, po za fizyczną budowę, człowieka inaczej rozpatrywać nie można, tylko jako cząstkę społeczeństwa. Niema on w sobie ani pierwiastku boskiego, ani ideałów przez naturę zapisanych w sercu. Wszystkie (?) zwyczaje nasze, obyczaje, pojęcia ukształtowały się wskutek potrzeb społecznych. Weźmy moralność. Metafizycy twierdzą, że jest ona przejawianiem się sumienia, które również stanowi jej probierz, że w istocie serca i umysłu naszego tkwi ideał dobra. Łatwo się przekonać, iż tak nie jest. Przypatrzmy się tylko człowiekowi na bezludnej wyspie. Czy może on tam być moralnym, lub niemoralnym? Nie. Nawet rujnowanie organizmu, nawet samobójstwo o tyle jest zbrodnią, o ile człowiek powinien spełniać obowiązki społeczne. Moralność więc, to nie pobudki wewnętrzne, nie przejawianie się natury ludzkiej, lecz wprost pewien stosunek jednostki do otoczenia.

Zatrzymać się teraz należy dla pewnego zsumowania stosunku ludzkości do jednostki. Najprzód jest ona istotą (organizm), powtóre istotą wyższą niż jednostka, *istotą najwyższą*, o jakiej człowiek wie lub wiedzieć może. Jest ona opatrznością, bo dąży do naszego uszczęśliwienia, po za nią niema mądrości, bo wszelka nasza wiedza od niej pochodzi itd., słowem atrybuty przypisywane jakiemuś nadprzyrodzonemu bytowi, o którego istnieniu pojęcia nie mamy i mieć nie możemy, całkowicie należą się *ludzkości*, jeżeli tylko ograniczymy się — co powinniśmy zrobić — do życia na ziemi.

Każdy członek wielkiego zbiorowiska ziemskiego świadomie lub nieświadomie żyje przez innych i dla innych (*par et pour autrui*). Jest to oczywiste: korzystamy na każdym kroku z pracy ojców i braci, poprzedników naszych i współczesnych. Myśląc nawet jedynie o zadowoleniu naszych potrzeb, o utrzymaniu własnego życia, przykładamy się koniecznie do pro-

dukcyi potrzeb ogólnie społecznych. Ani rolnik, ani fabrykant nie spożytkowują sami swych wytworów; artysta i uczony służą również społeczeństwu. Z biegiem czasu prawo zasadnicze, postawione przez pozytywizm, staje się bardziej doniosłem. Bogactwa, nagromadzone przez minione pokolenia, wzrastają i nabierają coraz większej przewagi nad tem, co do skarbca ludzkości dołożyć może pokolenie żyjące, więc coraz to bardziej żyjemy *przez innych*, a mając więcej możności, przez to samo więcej tworzymy *dla innych*. Oto formuła pozytywizmu w tym przedmiocie: *żyjący coraz bardziej są rządzeni przez umarłych, którzy stanowią najważniejszą część ludzkości* (mowa tu równie o materyalnym spadku, jak i o kierunku myśli, zwyczajach, pojęciach moralnych itd.). W stosunku do współczesnych również prawo Comte'a z dniem każdym ściślej stosować się daje. rozwój przemysłu wciąż podnosi podział pracy (toż samo się dzieje i w świecie myśli, tylko mniej wyraźnie), a stosunki coraz bliższe, ściślejsze i konieczniejsze między narodami całej planety nadają prawu temu niebywałą dotąd rozciągłość.

Jeżeli więc coraz bardziej korzystamy z pracy i wysiłków przodków i współczesnych, powinniśmy starać się *jak najwięcej zdziałać dla żyjących, dla następujących pokoleń, to nasz obowiązek, to cel naszego istnienia*. Dotąd życie nasze było *altruistyczne*, ale tylko faktycznie; teraz zaś świadomie i ciągle dążyć winniśmy do *służeniu ludzkości*. Na tem właśnie polega zadanie społeczne rodu człowieka. Świadome poświęcenie naszego egoizmu na ołtarzu dobra zbiorowej istoty stanowi ideał, do którego, jak do granicy w matematyce, dotrzeć nie można, ale zbliżać się należy ciągle.

Doszedłszy do takiego zasadniczego twierdzenia, Comte oświetla w „Dynamice socyalnej" prawa i rozwój instytucyj i pojęć ludzkich, wykazuje, jak pchane jedynie siłą mnożących się potrzeb, zdążają one wciąż do urzeczywistnienia altruistycznego ideału. W „Statyce" zaś daje teoryę rodziny, ojczyzny, ekonomicznych warunków bytu, języka, rządu itd. słowem tłomaczy znaczenie i zadanie każdego przejawu życia, dowodzi przytem, jakim warunkom odpowiadać one winny, aby jak najskuteczniej służyć ludzkości, aby jak największy spadek wiedzy, uczuć i bogactw materyalnych zostawić przyszłości.

Tu się kończy rola nauki-socyologii, a zaczyna sztuka-polityka.

Kiedy Comte przystąpił do spełnienia swego zadania, myślał tylko o usunięciu zamętu w pojęciach, o „zamienieniu nauki w filozofię." Zdawało mu się, że wystarczy dać ludzkości zamiast objawień teologicznych prawdy dowiedzione. Doszedłszy jednak do wierzchołka swej teoryi społecznej, ujrzał nowe widnokręgi; wtedy dopiero religia nauki zarysowała mu się jak skończona całość. Ażeby osiągnąć zgodność jednostek i społeczeństw dla solidarnej pracy, nie dosyć jest połączyć je wspólnemi pojęciami (tu C. z ogólnej, otrzymanej przez indukcyę zasady wyprowadza dedukcyjnie początkowe założenie), trzeba jeszcze dać im spójnię uczuć, a z życia usunąć dzielącą rzeczywistość, zastępując ją inną, wymagającą jedności.

To był właśnie przełom w życiu i pracach Comte'a. Littré i kilku innych uczniów w tem miejscu porzucili mistrza, przyjęli tylko dogmat, filozofię, a późniejszą pracę ogłosili za wynik waryactwa. Tymczasem było to tylko dalsze, konieczne następstwo teoryi społecznej, którą przyjęli i której wielkością wciąż się szczycą.

Dotąd więc był spełniony tylko pierwszy warunek jedności: postawiony dogmat nowej religii *); trzeba było teraz podać środki rozwinięcia uczuć altruistycznych (sympatycznych), jak również zastąpienia epoki feodalnej przemysłową, wojny — pracą.

Ostatnia część usiłowań socyologii i polityki Comte'a stanowić będzie dalszą i główną część niniejszej pracy. Pozostaje mi tu nieco bliżej określić drugą.

W biologii Comte rozebrał naturę duchową człowieka i podzielił uczucia na dwie kategorye: osobiste i społeczne. Teraz trzeba było wynaleść sposób dla wzmocnienia i rozwinięcia drugich, a osłabienia pierwszych. Ustanawia więc kult *ludzkości*, mający za zadanie potęgować miłość i gotowość poświęcenia się dla „najwyższej istoty," Wszelkie mniejsze instytucye społeczne spełniają rolę pośrednich ogniw, umożebniających osiągnięcie wzniosłych uczuć, które ogarnąć winny cały ród człowieczy. Comte opiera się na znanym fakcie psychicznym, że uczucia nabierają większego napięcia, jeżeli budzą się współcześnie w pewnej liczbie jednostek i dla tego projektuje publiczne obrządki, nawet poleca rozpamiętywania, rodzaj pacierzy dla zgromadzeń i jednostek — wszystko to skierowane ku głównemu celowi doprowadzenia życia do ideału i, zawsze zgodne z charakterem naukowym teoryi. Wszędzie przypominają się tylko dobrodziejstwa otrzymane i obowiązki nasze dla otoczenia. Każdy drobiazg w religii ludzkości usprawiedliwiony jest prawdami, wyłożonemi w ogólnie przyjętej „Filozofii pozytywnej."

P. Limanowski nazwał właśnie tę część religii Comte'a fantazyą (*Socyol. A. Comte'a*, str. 146). Mam nadzieję, że niejeden czytelnik odmówi temu twierdzeniu słuszności. Wszyscy religijni reformatorzy urządzali nabożeństwa, bo wszyscy mieli na celu rozbudzenie uczuć pewnych; czyż więc należało wyrzec się środka dlatego, że inni przedtem używali go z powodzeniem? Można nazwać pomysły takie prowadzącymi lub nie do celu, racyonalnymi lub nie, ale nigdy chrzcić ich mianem fantazyi ani mistycyzmu, gdyż każdy najmniejszy szczegół uzasadniony jest zwykłą, ziemską, choć genialną logiką. Fantazye chyba są nazwy nieprzyjemne, może nawet wstrętne naszemu wiekowi; ale czyż te powinny odstraszać od pomysłu, który, czy jest ostateczną formułą życia, czy ustąpi innemu doskonalszemu—zostanie zawsze olbrzymim pomnikiem potęgi i głębokości myśli ludzkiej.

Mnie się zdaje nawet, że pominąć należy drobne, pojedyncze usterki wobec szlachetnej myśli, która jak nić złota snuje się od początku do końca, wobec wpływu, jaki teorya cała wywarła i wywierać będzie, wobec nareszcie tego, że drugiej równie powszechnej i naukowej współczesność nie posiada, a uprzedzona nawet krytyka zdołała dotknąć ledwie zewnętrznej strony.

Pozytywizm więc, opierając się na teoryi natury ludzkiej, stawia idealny typ uspołecznienia, mający za formułę: *żyć dla innych*, i wskazuje, jak do ideału tego dążyć należy. To jednak nie wystarcza, gdyż potrzeba zbadać jeszcze, czy zewnętrzne otoczenie i nasz stosunek do niego pozwolą urzeczywistnić taki najwyższy stopień cywilizacyi.

W samej rzeczy, przykłady ze świata zwierzęcego mogą nas przekonać, że uzdolnienie umysłowe i moralne nie wystarcza do osiągnięcia szybkiego rozwoju, trzeba jeszcze, aby sfera *) sprzyjała temu. Foka, zmuszona żyć na wodzie i na lądzie, w każdym z tych żywiołów znajduje się w warunkach nieprzyjaznych, organy jej nie są przystosowane do żadnego, to też dzięki tej fatalności, pomimo pewnych przymiotów umysłowych, musi pozostać zawsze na niższym szczeblu rozwoju.

Warunki kosmiczne rzeczywiście stawiają wielkie trudności altruistycznemu rozwiązaniu kwestyi ludzkiej i dopiero umożliwia je nagromadzenie materyałów niezbędnych dla naszego istnienia, czyli utworzenie kapitału.

Szczegółowe zbadanie praw, rozwoju i stanu tej, że tak powiem, walki z materyalnemi trudnościami bytu, z siłami wrogiemi społecznemu życiu stanowi treść ekonomii politycznej.

(D. c. n.)

NIEŚMIERTELNOSĆ CZŁOWIEKA *).

P. Dębicki zamierzył ni mniej, ni więcej. tylko dowieść indywidualnej nieśmiertelności duszy, uważając śmierć cielesną za początek życia nowego, doskonalszego, niż ubiegłe. Jako podstawę swego rozumowania przyjmuje on zasadę epikureizmu: *ex nihilo nihil*, której nadaje formę odwrotną: *to, co jest czemś, nie staje się niczem*. Zaznaczywszy następnie, że dusza jest bytem samoistnym, otrzymuje z zasady powyższej wniosek, że być nim nie przestaje. A że sam nie wierzy w istnienie duszy bezcielesnej, przeto, po śmierci cielesnej, każe jej szukać ciała nowego, czyli rozpocząć żyć na nowo—lepiej jednak niż dotąd, co ma znowu wynikać z zasady rozwoju.

Taka jest w ogólnym zarysie osnowa pracy p. M. W. D.

Że autor zasady epikurejskiej nie pojął gruntownie, a przynajmniej, że jej nie umiał tu zastosować, najlepszym tego dowodem jest, iż zapewne żaden z sumiennych czytelników jego książki nie potrafi odpowiedzieć na pytanie następujące: *czyim kosztem, przy zasadzie „ex nihilo nihil," powstają dusze nowe na tym świecie, kiedy stare, nie ginąc, przechodzą w świat inny?*

Mimo to p. W. M. D. przytacza wiele myśli różnych powag naukowych, wszczerem przekonaniu, że one mniemanie, jego popierają. W miarę wszakże, jak zagłębiamy się w tę pracę, występują coraz większe wątpliwości o dostatecznem przygotowaniu autora do gruntownego rozumienia tych myśli; tem bardziej, że one same są dosyć mętne i zdradzają raczej to, iż ich twórcy nie mieli dostatecznych danych do określenia przedmiotu, o którym chcieli mówić, aniżeli pożądaną w tym razie jasność i stanowczość.

W napadzie na prof. Wrześniowskiego (przypisek na stronie 58), wykazał znowu autor zupełną nieznajomość teoryi Darwina, a osobliwie wybornych jego argumentów przeciwko celowości w naturze organicznej. Na prawdę mówiąc, kwestya ta zrozumianą być może głęboko dopiero po gruntownem poznaniu pięknego twierdzenia Laplace'a, zaznaczającego możliwość powstania porządku w chaosie przez działanie nieustanne ślepego tylko losu.

Kiedy mowa już o tem, na miejscu może będzie nadmienić także o usiłowaniach

---

*) Comte zaprowadził tylko pewne zmiany w swej filozofii. Zwracam szczególniej uwagę na ulepszenie w klasyfikacyi wiedzy (*Système de politique positive* i *Catéchisme positiviste*) umysł Comte'a pracował wciąż i pojęcia się rozwijały, a tymczasem przeciwnicy twierdzą, iż pod koniec życia tylko uwielbiał swe dzieło.

*) *Milieu.* Polski język nie posiada wyrazu, odpowiadającego w całości temu pojęciu; dałoby to się może wyrazić przez *sfera i otoczenie*. Pod słowem *milieu* Comte rozumie ziemię i atmosferę, ze wszystkiemi istotami w niej zawartemi.

*) Pod tym tytułem wyszła świeżo książka, z której szczegółowe sprawozdanie podamy później. Tymczasem zamieszczamy kilka uwag szanownego naszego współpracownika, oświetlających podstawę filozoficzną dziełka w sposób oryginalny. *Red.*

bardzo poważnych, podjętych z tym celem, aby, w duchu powyższego twierdzenia, wyprowadzić z chaosu wirów (*vortices*) Helmholtza, istniejących w masie ciągłej, nieściśliwej i bezwładnej, całą przestrzeń wypełniającej, prawa i porządek zjawisk natury nieorganicznej. Jesteśmy może zatem w przededniu teoryi, która objaśni: że zarówno harmonia w świecie organicznym, gdzie obok niej objawy losu możemy jeszcze obserwować prawie codziennie, jak i harmonia w świecie nieorganicznym, który zdaje się już być niemal uosobieniem skończonem wiecznego naprzód i wstecz prawa i porządku, są jednak tylko wynikiem odwiecznego działania trafu w chaosie.

Powracając do kwestyi duszy i jej nieśmiertelności, winniśmy tu także zaznaczyć pogląd na nią własny.

Przez duszę, albo raczej wszechduszę, rozumiemy sumę dwu *energij: fizycznej* i *duchowej*, nie jednego wszakże osobnika, ale całego ogółu. Kosztem energii fizycznej powstaje pokolenie nowe i zachowuje ją dla wytworzenia następnych, podczas kiedy energia duchowa zużywa się na tworzenie myśli, niezostającej bez wpływu na też pokolenia. Owszem, fakt rozwoju zmusza do przyjęcia, że ten wpływ działa udoskonalająco, tak, iż każde pokolenie następne posiada większy zasób energii duchowej, niż poprzednie. Ponieważ jednak dusza musi być niezmienną (nieśmiertelną), to dla zrównoważenia wzrostu energii duchowej w następujących po sobie pokoleniach, energia fizyczna maleje.

Tym sposobem, przez ciągłą przemianę energii fizycznej na duchową, zmysłowość coraz bardziej ginie, dążąc do zupełnej zagłady, a natomiast myśl potężnieje, zmierzając do stania się subjektem i objektem razem. Myśl-subjekt bowiem, czyli to, co myśli, i myśl-objekt, czyli przedmiot myślenia, przedstawiają, przy istnieniu zmysłów, dwoistość; wobec zatem zagłady zmysłowości, a więc i zmysłów, dwoistość przechodzi w jedność przez utożsamienie się myśli subjektu z myślą objektem.

Treścią przeto rozwoju jest potęgowanie się myśli, a granicą w nim nigdy nieosiągniętą—utożsamienie się jej, jako subjektu, z nią samą, jako objektem. Tę granicę (wprawdzie nie jako taką, ale jako coś już istniejącego) określił był jeszcze Parmenides z Elei w swym poemacie *O prawdzie*, mówiąc: „myśleć jest to samo, co być,“ i dalej: „byt jest pełnym i nieruchomym;“ bo jako wypełniający całą przestrzeń i cały czas, od przestrzeni i czasu niezależny.

Należałoby w końcu pokazać, że jest także możliwem (rozumie się w przyszłości) zbudowanie na tej podstawie teoryi matematycznej wszechzjawisk; musielibyśmy jednak, dla dopięcia tego, zaczerpnąć pewnych danych z metageometryi, co przechodzi zakres artykułu niniejszego.

Wł. G.

LIBERUM VETO.

Obrona kanalizacyi. — Poród mitologiczny. — Kiedy. — Apfelbaum i Lindley. — Święto „pierwszej cegły.“ — Rocznica nieotwierania szpitala. — Niebezpieczeństwo naśladowania. — Szpital i cmentarz. — Publiczna przysięga. — Właściwe pożegnanie. — Skrócony termin jubileuszu. — Dla rozrywki. — Układy ze złodziejem. — Niezły pomysł. — Oda do żaków.

„Możecie ocean zawiesić na drucie telegraficznym, ażeby wysechł — możecie parasolem zwrócić z drogi śnieżycę — możecie krater Wezuwiusza zatkać serwetą i powstrzymać jego wybuch — możecie nawet z nieba zgarnąć łyżką wazową obłoki a na księżycu przybić kartę z napisem: *do wynajęcia*, ale ani na chwilę nie ulegniecie błędnemu przypuszczeniu, że ta dziewczyna jest rzeczywiście winna.“

Tak swą mowę do przysięgłych zakończył niedawno pewien adwokat amerykański i tak ja rozpoczynam moją obronę kanalizacyi przed sądem prasy warszawskiej. Gentlemani — czegoż chcecie jeszcze więcej, kiedy już d. 14 października 1883 r. za rogatkami powązkowskiemi złożono „pierwszą cegłę“ pod budowę kanału? Nigdy podobno jeszcze niewinność nie była niesłuszniej uciśnioną, jak w osobie p. Lindleya. Gentlemani — wszakże między zatwierdzeniem kanalizacyi a złożeniem „pierwszej cegły“ matki warszawskie zdążyły mieć po dwoje dzieci, a wy chcecie, żeby p. Lindley urodził przez ten czas tak oczekiwaną córkę? Czy nie dosyć, że ona 14 października 1883 r. została poczętą? Zważcie, że, skoro jej ojciec jest (dla nas) postacią mityczną, jego dziecię przyjdzie również na świat według rachuby mitologicznej. Przybliżenie — kiedy? Nie wiem, ile cegieł obstalowano u p. Granzowa, ale nie sądzę, żeby jedną wmurowywano co dwa lata. Więc kiedy kanalizacya będzie gotową? Chyba nie prędzej, aż pani Modrzejewska wróci na scenę warszawską, którą „tak kocha,“ a p. Mierzwiński w przejeździe z Paryża do Petersburga zaśpiewa tym, którzy mu są „tak drodzy,“ aż Wenus naznaczy sobie nowe spotkanie z księżycem, aż my przestaniemy służyć za twaróg każdemu, kto w naszej kieszeni chce sobie serek odcedzić i odcisnąć. Słyszę, jak p. Apfelbaum, zacierając ręce z radości, powiada: „na mnie, prostego żydka, krzyczeli, żem prędko błota z ulic nie uprzątał, a jakże się śpieszy ten angielski inżenier?“ Prawda, panie Apfelbaum, ale ulice dotąd są i pozostaną brudne, kanalizacya zaś kiedyś będzie. Tylko troszeczkę cierpliwości: jeżeli pewien młodzian, w którego rękopisach niedawno jeszcze sam czytałem wyraz *żyd* pisany przez *t*, dziś ubolewa nad „nieuctwem,“ to i p. Lindley wreszcie Warszawę skanalizuje.

Tymczasem corocznie święćmy na jego cześć taki jubileusz, jaki nazajutrz po złożeniu „pierwszej cegły“ słusznie obchodziła *Gazeta Lekarska*. „Dzień 15 października — powiada ona — stanowi *ważną epokę* w dziejach szpitalnictwa miasta Warszawy. Jest to rocznica *nieotwierania* szpitala dla chorób zakaźnych za rogatkami wolskiemi.“ Zeszły się więc z sobą za rogatkami dwie równie wspaniałe uroczystości: pod Powązkami święto „pierwszej cegły,“ pod Wolą rocznica „nieotworzenia szpitala.“ Jakkolwiek są to akty bardzo szczytne, nie radziłbym wprowadzać zasady czczenia jubileuszami wszystkich niespełnionych życzeń, bo w takim razie zbrakłoby nam dni wolnych od ceremonij; a gdybyśmy przytem zaczęli takim wspomnieniom stawiać widome pamiątki, niedługo cała Warszawa pokryłaby się budynkami, z których jeden stoi samotnie w Ogrodzie Botanicznym. Szczerze mówiąc, ów szpital słusznie robi, że się nie otwiera: po co za rogatkami wolskiemi mają być łóżka, kiedy za powązkowskiemi są groby? Szpital tam tylko jest potrzebny, gdzie brak cmentarza.

I aktorzy z teatrzyku „Nowy-Świat“ zapewne także będą obchodzili jubileusz nieodebrania pensyi od przedsiębiorcy. Jeden z nich, nie mogąc widocznie rocznicy doczekać, ogłasza, że nie pisał artykułów ani w *Echu*, ani w *Kuryerze Codziennym* i spodziewa się publiczną przysięgą przebłagać okrutnego chlebodawcę, który go o to współpracownictwo posądził i za karę 45 rs. zatrzymał. „Może p. Leśniewski wypłaci należną mi kwotę“ — powiada on ze łzawem westchnieniem. Mnie się zdaje, że nawet powinien. Naprzód między pisaniem artykułów do *Echa* i *Karyera Codziennego* a grywaniem w teatrzyku nie zachodzi żaden związek bezpośredni, więc ostatnie nie może pokrywać długów pierwszego; powtóre taka skrucha! Więc niech lepiej p. dyrektor zapłaci należność, i tylko, co najwyżej, niech na pożegnanie wytnie swym przedstawicielom królów, hrabiów i baronów, którzy dziś mrą z głodu — następującą perorę: Kochane dzieci Melpomeny! Ponieważ wszyscy posiadacie te narzędzia pracy, które natura daje ludziom, czemu nie weźmiecie się do jakiego innego zajęcia, lecz chcecie pływać w papierowej łódce po morzu, które ją corocznie zatapia i was zbiedzonych na brzeg wyrzuca. Szewcy, krawcy, ślusarze, pończosznicy dochodzą do majątku, a wy? Czy był kiedykolwiek aktor, prowincyonalny, któryby posiadał dziesięć całych koszul i obiady opłacone na miesiąc z góry? Jeśli był, pokażcie mi go lub wymówcie jego szanowne imię. Oto widzicie, nawet p. Teksel z dyrektora teatralnego został restauratorem, a pp. Tarkiewicz i Ostrowski, którzyby przecież u niego dawniej nie grywali, dziś może chętnie jadają. Rozproszcie się po ziemi wieczni tułacze, i oby w innych przedsięwzięciach Bóg lepiej pamiętał o waszem ubraniu i żołądkach.“

Tak p. Leśniewski, którego podobno Melpomena również drogo kosztowała, winien przemówić do swej rozpuszczonej roty.

Jeżeli wielbiciele Żółkowskiego dwukrotnie obchodzili jego jubileusz w ciągu jednego roku, to nie dziwimy się wielbicielom Królikowskiego, że skrócili termin złotego wesela artysty ze sztuką o lat pięć, albo raczej o cztery. Zeszłego kwietnia ukończył on 45-ty rok swej teatralnej służby; przed kilku dniami powzięto myśl uczczenia jej stosowną pamiątką, a ponieważ zachody potrwają długo, więc Królikowski znajdzie się w 46-tej rocznicy. Tym sposobem skrócenie terminu będzie nie wielkie a wprowadzi niewątpliwy postęp do chronologii jubileuszowej. Precz z tradycyą! Dlaczego koniecznie 25 i 50, a nie 23 i 46? Co piątka ma w sobie świętego? A jednakże... jednakże, gdybyśmy mieli w Warszawie samorząd miejski a w kraju jedno porządne ziemstwo — nie mówiąc o innych rozrywkach — nie skracalibyśmy jubileuszów! Tymczasem dla urozmaicenia nudów i to dobre.

Niedawno czytaliście w *Prawdzie* artykuł p. t.: „Okres złodziejski,“ w którym autor wyraził przypuszczenie, że niedługo będziemy się kłaniali znakomitym rzezimieszkom. Do tego jeszcze nie przyszło, ale już zaczynamy wchodzić z nimi w pokorne układy. Mianowicie jeden z okradzionych zwrócił się za pośrednictwem *Kuryera Warszawskiego* do złodzieja z propozycyą ustąpienia części łupu. Naturalnie odezwa ta nie osiągnęła żadnego skutku z tej prostej przyczyny, że gdyby złodziej chciał być umiarkowanym, okazałby to przy rabunku. Sam pomysł wszakże porozumienia się nie jest złym. Naprzód, gdy środki prawno-policyjne nie ubezpieczają nas dostatecznie, pozostaje jako jedyny ratunek czułe serce; powtóre serce takie może się czasem znaleźć u rzezimieszka, który „ureguluje interes;“ po trzecie niedługo własność przejdzie do złodziejów, którzy pewnie okażą się wspaniałomyślni względem uczciwej mniejszości, tak samo jak my dziś, dbając o to, ażeby im w więzieniach było wygodnie. Wspomniany zatem przykład jest do naśladowania. Kto wie, czy idąc za nim, nie wykształcimy u siebie swojskiej klasy złodziejów, którzy obrabowanym będą zwracali np. 50 lub 25% — jak to już dziś czynią „cisi bankruci.“

Ktoś nieznany przysłał mi dwa numery tego umierzwionej *Roli* z podkreśleniami brutalstw, ciśniętych na mnie i na *Prawdę*. Jeśli w tym darze tkwiła myśl zmuszenia

nas do prenumeraty lub tylko czytania tej „kamiennie“ niedorzecznej gazetki, to wyznać muszę, że naciskowi uległością nie odpowiem. Wymysły panów herbu *hudym* i *gojłym* obchodzą nas tyle, ile pisk myszy kościelnej, a wywody ekonomiczne zuchów, których cała wiedza polega w sztuce energicznego pokazywania języka, materyału do polemiki nie dostarczają. Widziałem p. Jeleńskiego, kiedy jeszcze, jako literat, nosił chorągiewkę z tyłu i wtedy powiedziałem, że z niego, matka-literatura pociechy mieć nie będzie, bo jej synek uczyć się nie chce.

Potwierdzenie tego proroctwa mamy w *Roli*. Naturalnie niech to nie przeszkadza p. Jeleńskiemu, rozgniewanemu na szynki żydowskie, zwymyślać mnie we własnym, bo i mnie to nie przeszkadza zamówić sobie nadal szan. antisemitę do wymownych porównań. W gruncie rzeczy takich ludzi lubię...

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Objawy moralnego rozkładu w Łomży. — Łomżyński Hanibal i jego niedoszła zemsta. — Kiedy dojrzeje? — Smutek urzędników pewnej kolei i moja stąd radość.— Zdziwiony dziedzic i bogaty „kmiotek.“

Nietylko na niebie i na ziemi, ale i w Łomży dzieją się rzeczy, o których nie śniło się ludziom, piszącym „dokładne senniki,“ tj. naszym filozofom. Życie w tym grodzie, który niedawno pomawiałem o moralne suchoty, zanika coraz bardziej a natomiast mnożą się w nim zjawiska społecznego rozkładu.

Przystępuję do rzeczy.

Pewnemu młodzieńcowi, podczas nieobecności jego w mieście, zaduszono matkę. Głowa nieszczęśliwej, nosząca na sobie ślady gwałtowne morderstwa, wtłoczoną była pod kanapę, aby jęki dręczonej ofiary nie rozbudziły czujnie śpiącej łomżyńskiej straży bezpieczeństwa. Zdaje się, że dotąd żaden przyrodnik nie zauważył, aby człowiek, czujący bliski swój koniec, chował się pod kanapy i krzesła. Inaczej jednak myślał ten, którego zadaniem było ciemne owo morderstwo wyświetlić. Zapytawszy młodzieńca, kogo o zbrodnię podejrzywa, i dowiedziawszy się, iż jedynym przypuszczalnym zabójcą staruszki mógł być jeden z jej dłużników — szafarz sprawiedliwości rzekł uroczyście:

— Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, młody obywatelu, jeżeli przypuszczenia twoje okażą się błędnemi, natenczas będziesz oskarżonym o oszczerstwo i jako taki, utracisz swe miejsce w pewnym zakładzie, przez który, jak wiem, chciałbyś *przejść* koniecznie... Najlepiej więc będzie dla ciebie, gdy zeznasz, iż, według twego zdania, matka umarła śmiercią naturalną...

Hanibala od dziecka chowano dla zemsty; młodzieniec nasz znalazł się wobec niej niespodziewanie i dlatego też uznał śmierć matki za naturalną. W ten sposób jego przyszłość i wykształcenie umysłu uniknęły śmierci nienaturalnej. Czy myślisz, czytelniku, iż będę płakał nad człowiekiem, którego zmuszono do wykonania krzywoprzysięstwa nad zwłokami matki? któremu kazano zdobywać przyszłość za cenę wspólnictwa w matkobójstwie? Nie będę płakał. Młodzieniec, którego na wstępie do życia przywitano taką salwą moralnego rozpasania, będzie kiedyś dzielnym bojownikiem światła i cnoty. Tylko powolne i stopniowe oswajanie z ohydą występku mnoży zastępy godzących się na wszystko filistrów, ale człowiek, któremu odrazu serce zakrwawiono do głębi — przechowa zemstę i nie zapomni nigdy, co winien katom.

Nie będę również smucił się wraz z pracownikami pewnej kolei, że ich w znacznej mierze ominęły zasłużone nagrody. Zarząd tej drogi zorganizował niedawno jedną z tych spekulacyj, którym prawo zgody swej odmówić nie może, a którym sumienie odmawia jej zawsze. Postanowiono dać nagrody urzędnikom. Ale nagradzać tych, z których pracy się żyje, znaczy tyle, co zrzekać się dobrowolnie prawnego zysku. Zrzekać się zysku, jest to postępować, jak na dzisiaj, niemoralnie. Wprowadzono więc do ustawy o nagrodach kilka zastrzeżeń, a między innemi takie. „Do nagrody nie mają prawa ani ci, którzy w danym czasie byli karani pieniężnie lub administracyjnie, ani też ci, którym w tym samym czasie podniesiono pensyę lub dano wyższe posady.“ Ponieważ system kar jest dla pewnych instytucyj maszynką do dojenia chudych krów, ponieważ dalej z powodu jednej dymisyi lub śmierci otwiera się co najmniej dziesięć awansów, więc zrozumieć łatwo, że spragnione nagród osobniki, musiały pragnienie to zaspokoić kieliszkiem „oczyszczonej...“ wziętej od żyda na kredyt.

Zgasły dla nich „nadziei promienie,“ ale okoliczność ta, jak powiedziałem. nie smuci mię bynajmniej. Niech się dowiadują ludziska — jeżeli byli naiwnymi—że trzeźwy rozsądek nie zawsze bywa szkodliwym—nawet u nas. Niech raz już zrozumieją, że wilk daruje życie baranowi tylko wtedy, gdy ma przed sobą wołu.

Jeden duży majątek w Hrubieszowskiem, 30 włók obejmujący, wystawiono—pisze *Gazeta Warsz.*—na licytacyę za długi. Kupił go włościanin, Jacek Michalczyk za 50,000 rs. i zaraz, oprócz vadium, 20,000 wyliczył gotówką. Po licytacyi rzecz były dziedzic zdziwiony: „Mój Michalczyku, wiedziałem, że macie się dobrze, ale anibym uwierzył, żebyście mogli tyle grosza naraz wydostać.“ „To jeszcze nie wszystko—proszę wielmożnego pana, a lepiej, że się majątek dostanie swojemu, niż jakiemu przybłędzie. Ale sam nie dałbym sobie rady z takiem dużem gospodarstwem. Jeżeli łaska, wypuszczę jegomości w dzierżawę, a kontrakt wielmożny pan sam napisze, jaki będzie chciał.“ Były dziedzic podziękował uczciwemu włościaninowi za przychylność i chętnie objął dzierżawę.“

. . . .

Maryan Bohusz.

Łomża posiada szpital, urągający najprostszym zasadom miłosierdzia. Jego kurator mieszka o milę i dozorować go nie może, ordynujący lekarz ma zbyt wiele innych zajęć i obowiązków, szarytek brak, a dzięki temu wszystkiemu opuszczona lub niechętnym powierzona lecznica stała się prawdziwym postrachem dla biedaków, zmuszonych szukać w niej ratunku. Kilkadziesiąt miejscowych pań, pobudzonych litością, zaofiarowało swą bezinteresowną pomoc w pielęgnowaniu chorych i czuwaniu nad żywieniem ich. Rada opiekuńcza przedstawiła ich gotowość gubernatorowi, który zawsze popierając wszelkie projekty dobroczynne, i na ten się zgodził. Ochotniczki zaczęły pełnić swe usługi, ale cóż, kiedy w poprzek ich zamiarom stanęła nieprzewidziana instancya: pan intendent i felczer szpitala, którzy uczuli wielką dla siebie w tej ofierze niewygodę i zdołali — jak nam donosi korespondent — przeciągnąć ku sobie do boju nietylko służbę, ale nawet wrogo względem „intruzów“ usposobić p. kuratora. Nieustraszone kobiety stoją dotąd na swych posterunkach, ale nie wiadomo, czy ich ta grożąca walka nie znuży i nie zniechęci. Takiej możliwości zapobiedz zdoła tylko oprzytomnienie zwierzchności szpitalnej, która wiedzieć powinna, że zagranicą udział takich jednostek poświęcających się jest nietylko w szpitalach dozwolonym, ale nawet bardzo pożądanym.

Miłosna. Olbrzymie dobra, położone przy tej stacyi, są w posiadaniu niemca i pod dozorem oficyalistów niemieckich. Do jakiego stopnia rozzuchwaleni teutonowie zněcają się nad ludnością polską, dość powiedzieć, że jeden z nich, spotkawszy włościanina w lesie, stojącego pod drzewem, strzelił do niego za to, że chłop, nie zrozumiawszy niemieckiego pytania, zaczął przestraszony napaścią uciekać.

Kolno. We wsi Gromadzyn-stary zdarzył się tragiczny wypadek. Przed kilku laty pewien spekulant niemiec nabył duży las i do pilnowania go sprowadził z Prus gajowego. Obecnie właściciel las wyciął i spławił do Gdańska a z otrzymaną sumą 70,000 rs. wrócił do ojczyzny. Przed odjazdem, rozumie się, odprawił gajowego. Biedak, ojciec ośmiorga dzieci, pozostał śród obcych ludzi bez żadnego sposobu do życia. Na domiar nieszczęścia opuściła go jeszcze żona i uciekła z innym. W przystępie rozpaczy nieszczęśliwy powiesił się na sosnie, ostatniej może z wyrąbanego lasu.

W Lubartowie istnieje, jak donosi *Gazeta Lubelska*, czworonożny komitet sanitarny, wybornie uprzątający wszelkie nieczystości. Dla ułatwienia czynności jego członkom wszystkie budynki gospodarskie wychodzą tyłami na ulicę, a nawet w wielu parkanach urządzone są otwory, przez które głowa świni z łatwością przeleźć może.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 17 października.

Za parę dni zaczną się już posiedzenia Izb francuskich. Radykaliści gotują się do gwałtownego napadu na rząd: nieporozumienie między prezydentem i gabinetem, dymisya Thibaudina i niepewny stan rzeczy w Tonkinie — będą głównymi przedmiotami rozpraw. Ferry ze swej strony stara się umocnić zachwiane stanowisko najrozmaitszymi środkami. Na miejsce Thibaudina naznaczony został gen. Campenon, osobistość dobrze znana w kołach wojskowych, były minister wojny w „wielkiem gabinecie.“ Nominacya ta zjednała rządowi poparcie gambetystów. Ogłoszono również traktat zawarty z Anamem. Państwo to uznaje protektorat Francyi, odstępuje kilka prowincyj, które przyłączone będą do Kochinchiny, zgadza się wreszcie na otwarcie swych portów dla handlu europejskiego, na zajęcie przez wojska rzeczypospolitej kilku fortów przy rzece Czerwonej i na ustanowienie rezydentów francuskich w Tonkinie. Dzienniki półurzędowe donoszą o jeszcze pomyślniejszym wypadku. Czarne Flagi, w zamian za pewne przyznane im przywileje, przejść mają na żołd Francyi i w razie wojny z Chinami przyjmą jej stronę. Wiadomość ta, rozumie się, potrzebuje potwierdzenia i prawdopodobnie puszczoną została tylko dla przygotowania opinii publicznej w duchu przyjaznym rządowi, a raczej dla odparcia dosyć uzasadnionych zarzutów opozycyi, oskarżającej ministeryum o samowolę. W tym również celu wygłosił Ferry aż dwie mowy: jedną w Rouen a drugą w Hawrze, w których gromi wichrzycieli, pragnących wytworzyć waśń między prezydentem i gabinetem, i odwołuje się do „zdrowego rozumu“ narodu. W zapale nieostrożny mówca zanadto wysunął naświatło dzienne ukryte swe dążności, wzywając mieszczaństwo do walki z „ciemną bezmyślną demokracyą“ w obronie zasad porządku i wolności. Mowa ta przypominała występy reakcyonistów, którzy przecie także występowali zawsze w imię wolności i porządku a kilka frazesów o „rozsądnym postępie“ i „uczciwej rzeczypospolitej“ nie oszukają nikogo. Dzisiaj te wytarte liczmany nie mają już żadnej wartości.

Spokojna Szwajcarya niespodziewanie wywołała ruch w sferach dyplomatycznych. Rząd związkowy podniósł kwestyę postanowionej jeszcze na kongresie wiedeńskim.

neutralności północnej Sabaudyi. Francya, której sprawa ta dotyczy, utrzymuje, że rząd włoski odstąpił jej Sabaudyę bez żadnych zastrzeżeń; powyższy warunek więc nie obchodzi jej wcale. Prasa niemiecka i włoska stoją po stronie szwajcarów.

Zajście w Paryżu odbiło się w Madrycie w nieprzewidziany sposób. Ministeryum Sagasty, sprzyjające zbliżeniu się do Niemiec, upadło a ster rządu dostała w ręce t. z. lewica dynastyczna. Kierownikiem nowego gabinetu jest dotychczasowy prezes kortezów, Posada Herrera. Program jego zawiera na pierwszym planie rewizyę konstytucyi w duchu demokratycznym, zaprowadzenie powszechnego głosowania i reorganizacyę wojska; w polityce zaś zewnętrznej szanowanie traktatów i ściślejsze porozumienie się z Francyą. W skład rządu weszło kilku członków partyi umiarkowanie-postępowej (Sagasta); właściwie więc chodziło w danym razie raczej o zmianę polityki zagranicznej, aniżeli o reformy, których potrzebę zresztą uznawał i poprzedni prezes ministrów.

Niepowodzenie, jakie spotkało papieża w katolickiej Irlandyi potwierdza się teraz dowodnie. Składki na „dar narodowy“ dla Parnella, wynoszące w chwili zakazu 6,000 funt. szter., dosięgły obecnie ogromnej sumy 30,000. W pierwszych dniach grudnia odbędzie się olbrzymi meting narodowy, na którym podarunek ten doręczony zostanie wytrwałemu obrońcy ludowej sprawy.

Lwów. Sejm wybrał ponownie do wydziału krajowego dotychczasowych członków. Do grona zastępców powołany został jeden rusin, Siengalewicz, którego kandydaturę popierali w swoim czasie polacy.

— Sejm przyjął wniosek Grocholskiego o ograniczenie podzielności gruntów włościańskich.

Kronsztadt. Najjaśniejsi Państwo w dniu 15 b. m. powrócili z Kopenhagi i natychmiast odjechali do Peterhofu.

Zagrzeb. Przy odgłosie muzyki zdjęte zostały herby z napisami węgierskimi a zawieszono nowe bez napisów. Wojsko strzeże gmachów. Jeżeli zaburzenia nie ponowią się wkrótce, rząd zamianuje bana.

Paryż. Z powodu listu Bochera, sekretarza hr. Paryża, w jednym z dzienników prowincyonalnych, prasa republikańska żąda bezzwłocznego wydalenia pretendenta.

Rzym. Ojciec św. podobno na seryo myśli porzucić drogę, którą chodził Chrystus, i upomnieć się o utraconą władzę świecką. Dzienniki donoszą, że kard. Jacobini ma przesłać do mocarstw odpowiednią notę, powołującą się na wrzaski pielgrzymów w bazylice św. Piotra. Jak to czasem nie wiele potrzeba dla „uprawnienia żądań!“

Peszt. Redakcya *Függetlensegu* za sprzeniewierzenie składek publicznych dla szegedyńców oddaną została pod sąd.

— *Pester Lloyd* twierdzi, że powstańcy hercegowińscy, zbiegli z Niksiczu, skupili się w trzy oddziały po 400 ludzi i krążą około Lipowacza, Bileku i Gacka.

Berlin. Kardynał Hohenlohe, który niedawno, ku wielkiemu, ale utajonemu zgorszeniu klerykałów, odwiedził staro-katolika Döllingera, podobno odchylił się mocno od papieża, nie znalazłszy w nim należytego umiarkowania.

CUDZE GŁOSY.

Stara piosenka — na nową nutę. W polemice z *Czasem Nowoje Wremia* wypowiada po raz nie wiadomo już który swoje poglądy w sprawie polskiej i, jak za każdym razem poprzednio, zaczyna śpiewać znowu z innego tonu.

„Rosya nie potrzebuje ani zdobywać, ani ujarzmiać tych gałęzi narodu polskiego, którym historya przeznaczyła byt odrębny; w prowincyach zaś, objętych granicami rosyjskiemi, niema zasady dążyć do celów przeciwnych prawowitym interesom narodowości polskiej w jej obrębie etnograficznym. Nieraz już o tem była mowa w prasie rosyjskiej, i wyprowadzano stąd wniosek o konieczności poświęcenia widoków samolubnych na rzecz ogólnego dobra istniejących obok siebie narodowości słowiańskich. Niedawno jeszcze robiono próby, mające na celu ułagodzić wzajemne rozdrażnienie, — ale dodaje *Now. Wremia* — wspominać dziś o tem byłoby nie na dobie.“

Gazeta Polska to niespodziewane wyznanie wiary zaopatrzyła uwagami, z któremi trudne się nie zgodzić, o ile dotyczą organu p. Suworyna.

„Uwagi powyższe gazety petersburskiej odznaczają się stylem dość tajemniczym, którego aluzye prawdopodobnie *Czas* nie łatwo zrozumie, tembardziej, że i dla nas, bliżej ze stosunkami tutejszymi obeznanych, nie jest bynajmniej jasnem: kiedy to mianowicie prasa rosyjska podejmowała kwestyę poświęcenia samolubnych widoków dla dobra ogólnego narodowości słowiańskich—oraz, jakie to były niedawne próby łagodzenia wzajemnej między temi narodowościami niechęci? Że niektóre dzienniki rosyjskie wyrażały czasem podobne życzenia, — o tem wiemy, ale wiemy również, że najczęściej temu, czego dowodził jeden artykuł, wnet zaprzeczały inne artykuły, umieszczone w tymże samym dzienniku, jeśli nie zaraz w tymże samym numerze. Wiemy dalej, że jednocześnie inne organa rosyjskie starały się uporczywie uniemożebnić samą nawet myśl jakiegokolwiek polepszenia stosunków między narodami żyjącymi wewnątrz państwa.

Niewłaściwie zatem gazeta p. Suworina powołuje się na pojednawczą dążność „prasy rosyjskiej.“ Co najwyżej dążność ta objawiała się w wyjątkowych organach, ale nie zamieniła się nigdy na czas dłuższy w kierunek stały; przeciwnie, każdy jej objaw wywoływał niezwłocznie w prasie rosyjskiej z różnych stron szyderstwa lub insynuacye niezaszczytne.

Gdy tak działo się w dziennikarstwie, życie tymczasem szło wciąż utartą swoją koleją, — nie pojmujemy więc, dlaczego p. Suworin zastrzega się, iż dziś mianowicie „wspominać byłoby o tem nie na dobie,“ co w rzeczywistości nigdy nie stanęło na porządku dziennym.

Nie wszystkie jednak dzienniki rosyjskie zasługują na taką odprawę. Są pomiędzy nimi nieliczne, co prawda, wyjątki, których bezstronność, uczciwość i konsekwencya zasługują, bądź co bądź, na wyróżnienie.

Lekcya polityki. Sprawozdawca polityczny *Kuryera Warszawskiego*, surowo strofujący nieraz europejskich mężów stanu, obruszył się niedawno na radykalistów serbskich za ich — „fantazye konstytucyjne.“ Tymczasem „dziwactwa“ te nie wyglądają wcale tak śmiesznie, jak to się wydaje p. Br. Z. Dla przykładu przytoczymy próbkę tych strasznych rzeczy.

„Projekt orzeka, iż król nie mianuje ani nie zatwierdza przewodniczącego skupczyny, która nie zna ograniczeń swej woli, ograniczając natomiast króla i władzę wykonawczą, tak że obydwa te czynniki byłyby rzucone do nóg wszechwładnej skupczyny. Bez jej pozwolenia nie wolno następcy tronu wybrać sobie małżonki. Ona wskazuje królowi listę zbrodniarzy, których powinien ułaskawić a zastrzega się tylko z osobna, iż król nie może ułaskawić ministra! Wystarczy zaś, aby dziesięciu posłów skupczyny zażądało wniesienia przeciw ministrom skargi, aby gabinet obaczył się na ławie oskarżonych. Skupczyna jest w rzeczach ustawodawstwa samowładną. Jeżeli bowiem król nie raczy zatwierdzić jej uchwały, natenczas powtarza ona takową — i teraz niewolno już królowi odmówić sankcyi uchwałom skupczyny. Wolno zatem przedstawicielom ludu serbskiego wydać ustawę, będącą od początku do końca kapitalnem głupstwem.

Inny artykuł konstytucyi rzuca śmiałą myśl, iż każdy w Serbii ma prawo zakładać i urządzać szkoły. Dla kościoła stronnictwo to nie żywi szczególnych sympatyj. Kto nie chce, może nie opłacać *jura stolae*; nikt go nie pociągnie za to do odpowiedzialności. Klasztory powinny zwrócić dobra swoje w ręce rad powiatowych, a dochody kościołów parafialnych obracane będą na cele oświaty.

Każdy z 163 artykułów aktu konstytucyjnego ukrywa w swojem łonie jakąś perełkę tej wartości, co przedstawione powyżej...

Jaka to szkoda, że mistrz nie jest trochę młodszy, bo właśnie w roku bieżącym prof. Pawiński wykłada studentom o ustroju politycznym Anglii, mógłby więc dowiedzieć się, że wiele z tych strasznych herezyj dawno już wprowadzono w życie gdzieindziej.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sądy. Kryminalny departament kasacyjny senatu osądził sprawę tajnego radcy Perfiljewa, b. dyrektora departamentu poczt oskarżonego o roztrwonienie funduszów skarbowych. Perfiljew, będąc jeszcze dyrektorem kancelaryi ministra spraw wewn. Makowa, przywłaszczył sobie 30,000 rs., ofiarowanych przez ziemstwo tambowskie, z powodu 25-letniego jubileuszu panowania Aleksandra II, na cele dobroczynne. Zmarły monarcha przeznaczył tę sumę dla komitetu opieki nad rannymi. Po trzech latach ziemstwo zwróciło się do miejscowego gubernatora z zapytaniem, co zrobiono z pieniędzmi; gubernator zaś odniósł się po odpowiedź do kancelaryi ministra. W ten sposób odkryto sprzeniewierzenie. Perfiljew sam przyznał się ministrowi do winy, oprócz tego zeznał, że roztrwonił również 15,000 rs. z funduszów zarządu pocztowego. Współcześnie były jego zwierzchnik, sekretarz stanu Makow, zastrzelił się. Senat po rozpatrzeniu sprawy i uwzględniając okoliczności łagodzące, skazał Perfiljewa na wydalenie ze służby i karę pieniężną w ilości 15,000 rs. Strwonioną sumę oskarżony zwrócił rządowi w całości.

Zapisy. Przed kilku laty zmarł w Piotrkowie dr. Kaczorowski, który, pozostawiwszy żonie dożywocie na majątku, rozporządził nim w następujący sposób: jeżeli dochód z domu wynosić będzie 2400 rs., Towarzystwo lekarskie, któremu zmarły powierzył wykonanie swej woli, 1800 rs. wyznaczy na stypendya a 600 na rozprawy z nauk przyrodniczych i historyi literatury polskiej. Ponieważ żona testatora umarła, więc Okręg naukowy warszawski pociągnął pod swą kontrolę fundusz stypendyalny, niedawno zaś nadeszło z Petersburga zatwierdzenie nagród na rozprawy — z nauk przyrodniczych w związku z medycyną.

Nowy teatr. Dyrekcya teatrów warszawskich przedstawiła generał-gubernatorowi projekt zaciągnięcia pożyczki 1,200,000 rs. na budowę nowego teatru, przeznaczonego dla opery i baletu. Wybór miejsca nie został jeszcze dopełniony; najbardziej jednak przemawia za sobą część Placu Saskiego, gdzie obecnie znajduje się klub myśliwski i zarząd komendanta miasta.

Budowa więzień. Ministeryum spraw wewnętrznych stara się o wyjednanie kredytu rocznego w sumie 600,000 rs. na budowę nowych więzień.

Prasa polska. Dzienniki donoszą, iż jeden ze znanych kapitalistów, zajmujący wybitne stanowisko w sferach kolejowych, zamierza wydawać pismo, poświęcone interesom dróg żelaznych. Program nowego tygodnika ma być znacznie obszerniejszy od dawnej *Gazety kolejowej*.

Biblioteki. P. S. Giejsztor wydał drugą część *Katalogu* księgozbioru ignacogrodzkiego, w którym mieści się wiele druków rzadkich. W przedmowie tak skarży się p. G. na trudności, jakie spotyka w swoim przedsięwzięciu. „W interes nowej księgarni włożono 5000 rs., dwa zaś wydane katalogi dzieł dawanych nam okazują wartość naszych zbiorów; a jednakże zaledwie w instytucyi kredytowej do 500 rs. przyznano nam kredytu, z którego nawet nie korzystamy, bo śród współkolegów księgarzy nie dostaliśmy poręczycieli. chociaż trzyletnie prowadzenie handlu w niczem takiego postępowania nie usprawiedliwia.“

Komitet wystawy zabytków z epoki Sobieskiego w Krakowie rozwiązał się, przeznaczywszy czysty zysk 2000 zlr. na korzyść Muzeum w Sukiennicach.

Przekłady. *Złoty cielec*, farsa S. Dobrzańskiego, przetłomaczona została na język czeski przez Hovorkę.

Kursa żeńskie mają być — jak zapewnia *Nowoje Wremia*—pozostawione wyłącznie na opiece środków prywatnych.

Pamiętniki Heinego znów widział ktoś z *Pariser Nachrichten*. Czy one nie są wężem morskim?

Przywidzenia. *Gazeta Warszawska* pisze: „W ostatnim wykazie celnym znaczną obniżkę dochodów objaśniają zmniejszeniem się dowozu zagranicznych fabrykatów i wzrostem przemysłu krajowego. Obniżka w dochodach celnych ma być niby wyrównana powiększeniem dochodów z opłat przemysłowych. Złudzenie zaiste bardzo młodzieńcze. Powód rzeczywisty jest ten, że komu zabrakło na cytryny, zwrócił się do kartofli."

Pierwsza nagroda na konkursie Crouzeta przypadła w udziale p. Klemencyi Royer za dzieło *Filozofia ewolucyi*.

Skarbczyk mowy polskiej. P. S. pedagog, autor nowelki pomieszczonej w jednem z pism, wzbogaca naszą mowę cudacznymi nowotworami językowymi: „Józef łypnął na jego rękę" zamiast spojrzał; tenże sam autor zam. *prosty* używa *pojedynczy*, umie w jednem zdaniu cztery razy powtarzać wyrazy wychowawca i wychować. Czyż można dziwić się uczniom, jeśli tak piszą — nauczyciele!

Wypadki w fabrykach. Według danych, zebranych przez departament przemysłu w Cesarstwie i Królestwie na 100 wypadków przypada 15% lekkich zranień, 72,0 ciężkich obrażeń i 5,2 śmierci, podczas gdy w Niemczech bywo 95,8 lekkich ran i tylko 2,3 śmierci.

Pokłady grafitu. Na Wołyniu, nad Słuczem, przed kilkunastu laty jeszcze odkryto bogate pokłady grafitu, nikt jednak nie wyzyskiwał ich. Teraz dopiero jedno z towarzystw przemysłowych angielskich wysłało swego agenta dla zbadania miejscowości.

Unieważnienie legatu. Nigdzie chyba w świecie wola zapisodawców nie jest tak lekceważoną, jak u nas. Zofia Chełmicka przeznaczyła w testamencie 45,000 rs. na zakłady dobroczynne; babka jej jednak, niejaka p. Zielińska, wystąpiła z procesem o zmniejszenie zapisanej sumy do $1/4$ części.

Wzrost napływowej ludności. Liczba kolonistów w Królestwie w ciągu 8 lat (1873—1881) powiększyła się blisko o 72%, a ilość posiadanej przez nich ziemi o 29%.

Bibliografia polska. Dr. Leon Kulczyński. *Wykształcenie nauczycieli gimnazyalnych*. Lwów.

— Wydawnictwa rolnicze pod redakcyą Trylskiego. Dr. Antoni Sempołowski. *Ogólna uprawa roli*. Warszawa.

— *Katalog księgozbioru ignacogrodzkiego*. Dział antykwarski. Warszawa. S. Gejsztor.

— Zygmunt Librowicz. *Stara Polska w opisie malowniczym*. Petersburg.

— Julian Łapicki. *Pług i zasady jego budowy*. Warszawa.

— Julian Łętowski. *Firduzi* — obraz dramatyczny. Warszawa. M. Orgelbrand.

Statystyka pism. W roku zeszłym wszystkie poczty w państwie rosyjskiem przesłały pism peryodycznych 100,135,831 egzemp., o 4,000,000 więcej, aniżeli w r. 1882.

Trzęsienia ziemi zdarzyły się w Ołomuńcu, Zagrzebiu i Cilli.

Kolebka poetów (*Dichterwiege*). Pod tym tytułem pewien niemiecki księgarz zamierza wydawać pismo, w którym wszyscy zapoznani autorowie mają prawo drukować swoje utwory. Kosztować będzie 2 marki kwartalnie.

Kary administracyjne. Według orzeczenia senatu władze administracyjne nie mają prawa wymierzać żadnych kar za niewykonywanie przepisów, ale obowiązane są pociągać winnych do odpowiedzialności sądowej.

Dwuznaczna epitafia. Świeżo wyszła w Petersburgu książeczka pt. *Nekropolis petersburski*, zawierająca mnóstwo ciekawych napisów na grobowcach; np. mąż żonie pisze taki czterowiersz:

Od smutku odeszła na spoczynek,
Ukryta tutaj pod marmurową deską;
Kochając prawdę i cnotę;
Wzniósł ten pomnik — jej *niewinności* świadek.

Mogiłę znowu niejakiego G. zdobi krótki, ale energiczny napis:

„Duch jego poszedł precz z tego świata."

Zmarli. Księgarz, F. H. Richter, we Lwowie.

— Skrejszowski, redaktor dziennika *Tribüne*, wybitny działacz polityczny i publicysta czeski.

— Henryk Szmitt, zasłużony historyk polski we Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Kleparsk. M. W liście było: *Lewestam*, więc prostujemy omyłkę nie naszą, że powinno być Lewental (*Lib. veto* nr. 40). Co do używania porównań autor artykułu odpowie. Myśl poznajomienia ludu z urządzeniami krajowemi jest bardzo dobra, praktyczna zaś jej wartość spoczywa naturalnie w wykonaniu. U nas używano tego środka z powodzeniem.

P. S. w Olg. Kilkakrotne wystąpienia nasze w sprawie czystości języka źle pan zrozumiał. Nam wcale nie idzie o usunięcie z mowy polskiej *wszystkich* wyrazów obcego pochodzenia, ale: 1) o wyparcie lekkomyślnych *i bez potrzeby* wprowadzanych a dla większości społeczeństwa zagadkowych; 2) o staranność wysłowienia. Przytoczone na dowód mniemanej niezgody czynów z zasadą wyrazy: *energia*, *cel*, *kokon*, *dyalog*, *kategorya*, *gramatyka*, *proces*, *charakter*, *formalnie*, *opinia* itd. powszechnie się przyjęły i doradzanymi przez pana zastąpić się nie dadzą. Bo: energia nie jest *sprężystością*, kategorya — *warstwą* lub *błamem* (!), *dyalog*— rozmową (co najwyżej *dwumową*) itp. Gdybyśmy według rady pańskiej napisali: *mównia* nasza nie uporządkowała jeszcze *powierzchowności* języka (zamiast *gramatyka* nie uporządkowała *form*) lub też: *swojelubstwo* (zam. *patryotyzm*) ich czynów — z pewnością prócz pana i niewielu współwyznawców przesadnej czystości nikt by nas nie zrozumiał, tak samo, jak kiedyś czesi, gdy im *w poprawnem* brzmieniu rozlepiono na ulicach ogłoszenie o iluminacyi narodowej, nie zapalili ani jednej świecy. Nie ulega wątpliwości, że po wypędzeniu z języka wszystkich wyrazów obcych ludzie nie mogliby się porozumieć w najprostszych sprawach a umysł swój musieliby zacieśnić do najpierwotniejszych pojęć. Nawet hodowca jedwabników nie sprzedałby swej *pajęczyny*, bo nie umiałby czysto po polsku wyrazić jej wagi — a cóż dopiero rzec o pragnących telegrafować, telefonować, handlować lub fabrykować. Nie idźmy za daleko i nie przekraczajmy granicy (wyraz cudzoziemski), na której kończy się słuszność, a zaczyna dziwactwo. Jako nie lingwista ani pan przypuszczasz może, ile w naszej mowie jest pożyczek obcych za kapitał swojski uważanych. Przecież sam kwiat narodu — *szlachta* nie pochodzi z naszego gruntu!

P. Wandzie B. w Wilnie Posyłamy. Należy się kop. 22.

P. K. Br. w K. Nie. W Alzacyi i Lotaryngii istnieje także cenzura, która pisma zagraniczne (nawet wiedeńskie) konfiskuje lub nawet całkiem ich nie puszcza.

Zawsze wiernej Pr. Nie rozumiemy, o co chodzi i na co mamy odpowiedzieć.

T. Nibrgr. Potrzebne koniecznie świadectwo ukończenia gimnazyum do starania się o stopień naukowy.

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Skotnicka rs. 1. Dr. J. B. rs. 10. J. B. rs. 1. M. B. kop. 20. Andrzej S. kop. 15. Antonina J. kop. 10. Józefa Z. kop. 15. Gelert guldenów 2. J. N. rs. 25. Studenci II kursu prawa rs. 13.

Na Kasę Mianowskiego. Wacław Łopuszyński z Petersburga rs. 5. kop. 50.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Октября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.